Nr. 7. Warszawa, dnia 31 Stycznia (12 Lutego) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesiecznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 3.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

SEJM LWOWSKI.

Organ wewnętrznego prawodawstwa Galicyi funkcye swoje, na r. 1897 przypadłe, rozpoczął dopiero w samym końcu tegoż roku, dnia 28 grudnia. Zagajenia dokonali, jak zwykle, namiestnik i marszałek. Ks. Sanguszko w imieniu rządu przedlitawskiego wskazał potrzebę podniesienia nakładów na szkoły, zapowiadając ściślejsze przeprowadzenie zasady przymusu szkolnego. Do szkół średnich uczęszczało w ostatnim roku 17,638 młodzieży. Dla osłabienia klęski głodowej dał rząd od siebie Galicyi 300,000 złr. Marszałek, Stan. Badoni, dotknął ogólnego położenia monarchii: jest ono ciężkiem; konstytucyonalizm z równowagi wytrącony, stronnictwa wzburzone, poprawa konieczna a pilna. Galicya potrzebuje rozszerzenia samorządu, na podstawie praw historycznych i tradycyi. W czasie sprawozdawczym przedsięwzięto budowę nowych kolei miejscowych. Od nowego roku zaczęła obowiązywać nowa ustawa drogowa. Pilną potrzebą kraju jest zmiana statutu Banku krajowego dla ułatwienia kredytu włościanom. By uchronić od nędzy dotkniętych przez klęski elementarne, zażądał wydział od rządu 100,000 złr. bezpowrotnie, drugie tyle dołożyć winien kraj. — Zaraz po zagajeniu Jaworski, b. minister Galicyi w Wiedniu, proponuje wystosowanie adresu do korony z powodu 50-lecia rządów Franciszka Józefa i niezwykłego położenia. Rusin Barwiński przystaje na adres, zastrzegając tylko dopuszczenie Rusinów do redakcyi; jednocześnie żąda gimnazyum rusińskiego w Tarnopolu i obowiązkowej nauki obu języków od roku 1898—9 w czterech pierwszych klasach, a później i w pozostałych. Wniosek o adres z własnem umotywowaniem stawia i Stan. Szczepanowski, stawia i włościanin Bernadzikowski. Sejm wybiera komisyę adresową pod przewodnictwem b. ministra, Juliana Dunajewskiego, a komisya znowu do ułożenia adresu wydziela z siebie podkomitet tak złożony: Abrahamowicz, Barwiński (Rus.), Bernadzikowski, Bobrzyński M., Dzieduszycki W., Jaworski (wnioskodawca główny) i Sawicz (Rusin).

Pierwszy raz od czasu samorządzenia się Galicyi etat jej jest tak wysokim, jak w r. 1898. Ogół wydatków dochodzi do 8,900,630 złr., z czego 31,4% na zaspokojenie potrzeb gospodarczych 13% na zabezpieczenie zdrowia publicznego itd. Budżet szkół zamyka się sumą 3,736,794 złr. Każdy Galicyanin do każdego złotego stałych podatków rządowych dopłacać musi przez 1898 r. 61 centów, każdy Krakowiak (z W. Ks. Krak.) 47 ct. — na potrzeby krajowe. Rozprawy budżetowe odłożono na sam koniec sejmu; na początku uchwalono pobór tymczasowy.

Bardzo ważny wniosek wyszedł z łona stronnictwa postępowego—związany z nazwiskiem Weigla, posła krakowskiego. Piąta kurya z Przedlitawii ma wejść i do Galicyi, prawo z d. 14 czerwca 1896 stać się powinno prawem i w Galicyi. Nadto projekt 20 miasteczek dotychczasowych z kuryi mniejszej własności ziemskiej przenosi do kuryi miast i daje im 10 posłów. Oba uniwersytety na miejsce prawa wirylnego rektorów otrzymują prawo wyborcze profesorów, a porównaną jest z nimi politechnika lwowska. Ciało profesorskie wybiera własnego przedstawiciela, niekoniecznie rektora. Wielka własność, miasta, Izby handlowe i uniwersytety głosują bezpośrednio i tajemnie; na wsiach piśmienni głosują kartkami tajomnie, niepiśmienni ustnie, a tem samem jawnie. O prawności wyborów rozstrzyga umyślna komisya sejmowa. Z pomnożeniem sejmu łączy się i pomnożenie wydziału krajowego: kurya V będzie w nim miała własnego przedstawiciela. Cały ten demokratyczny projekt odesłano odrazu do komisyi. Długą ma on przed sobą drogę, gdyż przejść musi i przez sejm i przez wydział, i przez namiestnika i przez Radę państwa wreszcie.

Komisya szkolna, do której odesłano wnioski językowe Barwińskiego, postanowiła zalecić je Radzie szkolnej do wprowadzenia w życie, a rząd prosić o wytworzenie lektoratów rusińskich w obu uniwersytetach i w politechnice. Sejm, wysłuchawszy sprawozdania byłego ministra, Madeyskiego, d. 1 lutego uznał znajomość obu języków za *pożądaną*, zalecił Radzie szkolnej dążenie do zapewnienia jej młodzieży szkół średnich, *w miarę sił nauczycielskich*, wreszcie ze sprawozdania przyjął żądanie lektoratów. Jednocześnie wezwano rząd do otwarcia rusińskiego gimnazyum w Tarnopolu. Przeciwko tej

rezolucyi głosowali między innymi Czarkowski, Korytowski, za nią — Dzieduszycki W., stronnictwo postępowe i ludowe.

Adres, ułożony przez Dzieduszyckiego W., sejm wziął pod obrady d. 26 stycznia, a nazajutrz uchwalił. W rozprawach wybitnie przemawiali: Dunajewski Julian, Szczepanowski Stan., Piniński, Kramarczyk i sam sprawozdawca-autor, Dzieduszycki. Kramarczyk, włościanin, wygłosił gorącą mowę za adresem na cześć cesarza, z przywiązaniem do dynastyi. Rusin Okniewski zbijał samą potrzebę adresu tem, że nie wystosowano podobnego aktu w roku zeszłym, wtedy, kiedy on go się dopominał; jest coś pilniejszego do zrobienia: oto podział kraju na Galicyę Wschodnią i Zachodnią; przytem gdzie spojrzysz, nieład i ucisk. Ale w sejmie znalazł się prócz tego jeden tylko jeszcze głos przeciwny: posła Nowakowskiego, i można powiedzieć, że adres uchwalono jednomyślnie. Główny tok jego myśli: W roku jubileuszowym cesarza Polacy i Rusini galicyjscy wyrażają mu wdzięczność za dotychczasowe rządy, za zapewnienie warunków zdrowego, na tradycyach historycznych opartego rozwoju. Spełniać będą zawsze to, czego wymaga jedność i potęga państwa i nietykalność swobód wszystkim ludom monarchii zapewnionych. Posłowie galicyjscy uczestniczyli w Radzie państwa, chociaż ustawa (centralistyczna z r. 1873) o wyborach bezpośrednich pogwałciła prawa sejmów krajowych i naruszyła historyczną budowę monarchii. Wypadki roku ubiegłego głęboką przejmują sejm boleścią. Z namiętności narodowych skorzystały kosmopolityczne żywioły przewrotu. Polacy i Rusini, jako dwa bratnie narody, u siebie zrobią wszystko, dla domowej zgody; ale do tego potrzebują takiej polityki ogólno-państwowej w zakresie skarbowości, handlu i komunikacyi, któraby usiłowania ich wspierała, a nie ustawała w prawodawstwie dobroczynnem dla klas robotniczych. Sejm i kraj pragną powrotu monarchii do prawidłowych stosunków parlamentarnych i konstytucyjnych, zwłaszcza—zawarcia ugody z Węgrami. Zwrotem do osoby cesarza, do jego rządów przyszłych, kończy się ten akt pierwszorzędnej wagi nietylko w życiu wewnętrznem Galicyi, ale wśród burz srożących się teraz w Przedlitawii — dzięki wyższej kulturze niemieckiej.

Z uchwał do d. 8 lutego wydanych przez sejm prócz powyższych, zaznaczyć jeszcze wypada o ile są wiadome: domaganie się nowego, górniczo-technicznego, wydziału w politechnice lwowskiej; wezwanie rządu do zmniejszenia liczby karczem i szynków, których dawniejsza liczba w ciągu lat sześciu od 1890 zmalała już o tysiąc; obłożenie totalizatorów w Krakowie i Lwowie 2½%—opłatą na ubogich; ustawę o podziale i regulacyi gruntów wspólnie używanych; wyznaczenie 50,000 złr. na roboty publiczne, tyleż na zasiewy dla dotkniętych nieurodzajem i powodzią w r. z.; dopomnienie się u rządu o zniżenie ceł i taryf kolejowych od soli i jęczmienia i ulgi podatkowe; wezwanie rządu, aby w sądzie polubownym o Morskie Oko zasiadał członek wydziału krajowego Galicyi.

Szkoły były przedmiotem licznych spostrzeżeń, krytyk i żądań. Dopomniano się szkół realnych w Czartkowie i Krośnie. Ks. biskup krakowski, Puzyna, zażądał pomnożenia liczby godzin na naukę religii w szkołach ludowych. Poseł włościański, Wójcik, zaproponował zupełne zniesienie mundurów szkolnych, w których obronie stanęli Tarnowski i Bobrzyński. Sejm mundury utrzymał. Poseł włościański, Bernadzikowski, zganił brak szkół średnich, nichygieniczne lokale. Zajączkowski (Rusin) izby szkolne uznał za ohydne, narzekał na prześladowanie młodzieży rusińskiej, na brak i niski poziom rusińskich nauczycieli. Czartoryski sięgnął do duszy wychowania szkolnego: młodzież wyrasta na karyerowiczów, w umysłach pleni się materyalizm; brak hartu ducha, odporności na zepsucie. Jordanowi, przeciwnie, wszystko się podoba: wygłasza on mowę pochwalną dla nauczycieli. Opłakane Dublany i w tym roku zajęły sejm. Górski zażądał zamienienia tej *quasi*-akademii na zwykłą szkołę rolniczą średniej miary. Szkoła jest zła, a droga; jeden uczeń kosztuje 1,000 złr.

Ostrą krytykę zwróciła na siebie skarbkowska fundacya Drohowyżka. Z winy kuratora stan jej jest arcy-smutny. Włościanin Krempa zażądał ogólnej na cały kraj instytucyi ubezpieczeń. St. Szczepanowski zażądał oddania funduszu propinacyjnego pod zarząd kraju. Kramarczyk (włościanin) upomniał się o język polski w pocztach i telegrafach, a Średniawski (lud.) dołączył jeszcze żandarmeryę i koleje. Potoczek (włościanin) chce mieć służbę w wojsku skróconą do lat 2 z 3-ch, Wachnianin żąda równouprawnienia języka rusińskiego z polskim w administracyi, i sejm projekt jego odrazu odsyła do komisyi administracyjnej. Jabłoński pragnie głosy wirylne w sejmie nadać rektorowi politechniki i prezesowi akademii itd. Tyle do d. 8 b. m.

MŁODZI WOLFFOWIE.

Nawet najszczersi przyjaciele Austryi muszą dziś uznać fakt, że ona ulega bardzo szybkiemu procesowi rozkładowemu. Wszystkie narody i wszystkie stronnictwa biją taranami w budowę państwa Habsburgów, zapewniając jednocześnie o swem do niego przywiązaniu. Burzycielską robotę, którą rozpoczęli w parlamencie posłowie, posunęli dalej studenci niemieccy, najbardziej zdziczała w Europie młodzież szkolna. We wszystkich uniwersytetach, politechnikach i wyższych zakładach specyalnych Austryi ogłosili oni „bezrobocie,“ polegające na ordynarnych burdach, wyprawianych profesorom, ażeby ich zmusić do za-

39)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

I.

Akurat w tym czasie pewien Kabardyńczyk namawiał w więzieniu wojewódzkiem towarzyszów do ucieczki. (Miał on otrzymać 70 batów). Dobierał ludzi, dla których śmierć była by jak i dla niego — niczem. Do tej właśnie partyi przyłączył się także Głowacki. Uciekło czterech Kaukazczyków, Głowacki i katorżnik Bejlin, który następnie odegrał straszną rolę w życiu Głowackiego.

Bejlin po ucieczce z więzienia oddzielił się od towarzyszów i poszedł sam jeden na włóczęgę. Pięciu zaś zbiegów zrobiło sobie tratwę i popłynęło cieśniną Tatarską.

— Płyniemy— naraz ukazał się dymek. Zauważono nas. Policmajster Dąbrowski pogoń urządza. A więc smutny los! Czekamy, co będzie. Uderzają na nas fale, rzucają tratwą. Płócienną kurtkę porwał nam wiatr i rzucił do wody. Chciałem dostać drągiem, ale gdzie tam! — Popłynęła! Zbliża się statek: „Poddawajcie się!“ — krzyczy Dąbrowski. My zaś, jak przyjęto, padamy na kolana. Wzięto nas na statek. „Pocóżeście człowieka wrzucili do wody?“ — pyta policmajster. — „Jakiego człowieka?“ — „Nie zapierajcie się— mówi — sam widziałem, jak człowiek wpadł do wody. Ot ten, ruski, jeszcze go drągiem odpychał.“— „Ależ to—mówię— kurtka, nie człowiek.“ — „Dobrze — odrzecze — sprawdzimy. Sam widziałem.“ Przywożą do więzienia. Zbiegło sześciu, a przyprowadzono pięciu; niema Bejlina. „Gdzie Bejlin?“ — pytają. Przysięgamy się na Boga, że odłączył się i sam poszedł. Nie wierzą! „Sam policmajster widział, jak Głowacki człowieka do wody wrzucił i drągiem zatopił.“

Wszczęła się sprawa o zabójstwo więźnia Bejlina przez Głowackiego podczas ucieczki.

— Dwa lata, jako wielki przestępca pod śledztwem, w kajdanach siedzę; przez ten czas śledztwo się toczy. Czekam—albo szubienicy, albo chłosty — na śmierć zachłoszczą. Przed władzą klnę się, przysięgam. Śmieją się. „Niechno przyjdzie Bejlin z tamtego świata, wtedy będziesz uniewinniony. Innego sposobu niema.“

Gdy naraz w r. 1894 „Jarosław“ przywozi na Sachalin Bejlina. Udało mu się dotrzeć do Rosyi, wpadł w ręce władzy, podał się za włóczęgę „niepomnego“ i jako taki przybył do katorgi na półtora roku.

Poszedł Głowacki do niego.

— Odkryj się. Wszak mię sądzą za zabójstwo ciebie. Bejlin odmawia.

— Nie. Co mi za wyrachowanie zamieniać półtora roku na długie lata i chłostę!

Głowacki zwrócił się do katorgi:

— Bracia! Wstawcie się za mną! Przecież wy wiecie, że to Bejlin!

Ale Bejlin, posiadając pewną kwotę, potrafił przekupić „Iwanów“. Ci zaś prawodawcy, sędziowie i oprawcy oznajmili:

— Zabijemy tego, kto zdradzi. Dawny zwyczaj: włóczęgi nie wydawać.

Wtedy widząc, że czy tak, czy inaczej, musi zginąć, Głowacki poszedł sam do władzy:

— Oskarżono mię o zabójstwo Bejlina, a ten żyje i jest tu. Oto on!

Sprawdzono za pomocą fotografii, przesłuchano aresztantów i Bejlin musiał się przyznać. Sprawę o zabójstwo umorzono, Głowackiego zaś za ucieczkę skazano na 11 lat „doświadczenia“ i 65 batów.

— I to tylko za sześć dni nieobecności!— mówi on, a w oczach łzy mu się kręcą, gdy wspomina o tych 65 batach.

Bejlinowi za ucieczkę również przedłużono termin i skazano na chłostę. Postanowił zemścić się:

— Dziesięciu rubli nie pożałuję, ażeby Głowacki nie żył.

przestania wykładów, oraz na biciu się z kolegami słowiańskimi. Nie uszanowano przytem ani powagi przewodników, ani spokoju miejsc. Wrzaski, tupania, gwizdania, słowem, całą kocią muzykę godnych naśladowców Wolffa powtarzano nietylko w audytoryach, ale także w klinikach. Oburzającym był widok łobuzów, którzy wtargnąwszy do sal szpitalnych, przerażali swą napaścią chorych. Daremnie profesorowie starali się uspokoić rozjuszone gromady, przyczem na niejedną siwą głowę spadła dotkliwa obelga. Rozumie się na ulicach młodzi przedstawiciele „kultury,“ którą ponownie Mommsen wyniósł po nad barbarzyństwo słowiańskie, puszczali zupełnie wodze swym szlachetnym instynktom, zwłaszcza tam, gdzie, jak w Wiedniu, mieli przewagę liczebną nad kolegami słowiańskimi. Każde spotkanie rozpoczynało się od „Wacht am Rhein“ (właściwa pieśń w ustach Austryaków), a kończyło się kijami. Zaburzenia te wybuchły we wszystkich miastach austryackich, posiadających wyższe zakłady naukowe. Wszędzie studenci słowiańscy wnosili protesty do rektora, wszędzie próbowali utrzymać się na wykładach i wszędzie młodzi Wolffowie sterroryzowali ich. Ostatecznie musiano zawiesić lekcye i przed terminem zamknąć półrocze zimowe. Teraz ma się odbyć sąd na winowajców, po którym trudno się spodziewać zarówno sprawiedliwości, jak okiełznania burzy. Awantury niewątpliwie ponowią się, bo całą Austryę porwał orkan, który ją rozdziera i rozbija. Jeżeli to widzą i tego pragną żywioły rozkładowe — pojmujemy ich niszczycielską pracę; ale jeżeli tego nie pragną, to doprawdy trudno zrozumieć ich ślepotę. Łudzić się, że państwo różnoszczepowe, różnojęzyczne, różnowyznaniowe wytrzyma te wszystkie wstrząśnienia i ataki, że ono poprostu nie rozpruje się jak z różnych kawałków zszyta, a gwałtownie w przeciwne strony szarpana kapota — jest to zamykać oczy na fakt oczywisty. Niemcom nic nie grozi, bo czeka ich na przyjęcie łono „Vaterlandu,“ ale słowianie powinni wcześnie policzyć się z możliwością rozpadu monarchii Habsburgów.

Tydzień polityczny. Proces Zoli rozpoczął się d. 7 b. m. i trwał jeszcze 10-go. Akt oskarżenia złożył prokurator, ulegający rozkazom rządu, czyli sam rząd z trzech tylko ustępów ogromnego, 8 łamów dziennika *Aurore* zapełniającego listu do prezydenta Faure'a, a wybrał je tak, aby nie zaczepiały o proces Dreyfussa. Z aktu wyłuszczyła prokuratorya zobelżenie armii, powołując do dziesięciu paragrafów prawa prasowego z r. 1881 i kod. karnego. Zola nie jest przestępcą głównym: charakter ten nadał akt oskarżenia wydawcy pomienionego dziennika, Perreux; romansopisarza uznaje tylko za współwinnego. Z dotychczasowego przebiegu wybija się przed oczy stronność sądu, niepozwalającego na zbadanie okoliczności istotnych w sprawie, hasanie na koniku „tajemnic państwowych,“ przywilej nietykalności nadany wojsku i honorowi wojskowemu, niedostateczne zabezpieczenie osób nienawistnych tłumowi i nakoniec tego tłumu — w brylantach czy w łachmanach — płytki, lichy patryotyzm, krzyczący: „Pluć na Zolę,“ „Śmierć Zoli,“ „Niech żyje Francya,“ „Niech żyje armia!“ Wszystko to bardzo tanie i bardzo też tandetne, wystawia Francyi świadectwo duchowego ubóstwa i ograniczenia, płynącego z moralnego i umysłowego zepsucia.

Sąd czuł, że przecież formy najelementarniejsze uszanować musi — dla samego choćby motłochu i dobrej u niego opinii — i dlatego generałów, odmawiających stawiennictwa, wyraźnym, przez obrońców wszakże dopiero wyjednanym, nakazem do świadczenia sprowadził, ale sprowadzonym zarazem pozwolił nie świadczyć i świadczyć zabronił. Mercier, Boisdeffre, Gonse, nawet Esterhazy, mieli jednę wymówkę: tajemnicę stanu. Gonse zobelżył obrońcę Zoli, Laborego.—Dobre wrażenie sprawił b. prezydent rzeczypospolitej, Casimir-Perier, oświadczeniem, że nie może powiedzieć „całej prawdy“ (8 b. m.): nie powiedział ani najdrobniejszej części, ale wyrażenie dwukrotnie użyte o całości — każe domyślać się pod oskarżeniami Zoli podkładu z rzeczywistości. Scheurerowi-Kestnerowi pozwolił prezydujący opowiedzieć treść listów Gonse'a do Picquarta z września 1896 r.; ogłosiły je nazajutrz *Siècle* i *Aurore*. Widać z nich, że w samem ministeryum wojny zadawano sobie wówczas pytanie: zali nie popełniono pomyłki sądowej? Gorszącą jest wymówka pań Comminges i Boulancy, wpływających do historyi owej „damy zawoalowanej,“ którą odwoływały dzienniki przed procesem Esterhazego, choć jej sam proces nie tknął. „Dama“ podaje ramię pułkownikowi Paty de Clam, który już w procesie Dreyfusa występował, a od rodziny Comminges wyłudził dla klientki swojej 5,000 fr. — brudy! I jak tu nie żądać rewizyi procesu! Byłaby ona już zarządzoną, gdyby gen, Mercier, m. wojny za Dreyfusa, nie wywinął się — tajemnicą. Tajemnicą można cały naród ujarzmić. Dyktatura wojskowa już z za węgła się czai.

Ważne *communique* głównego dziennika rządowego z d. 9 b. m. przedstawia stan sporu o Kretę ze stanowiska polityki rosyjskiej. Rosya nie upiera się przy kandydaturze ks. Jerzego greckiego, odpychanej przez sułtana, Austryę i Niemcy, ale szukać już innego kandydata nie będzie, nie uzna też żadnego, któryby był poddanym tureckim, zrzuca z siebie odpowiedzialność za wszystkie niepożądane następstwa, nie pozwoli na sprowadzenie wojska tureckiego i uchyli się od wszelkiego przymusu, jakiby wywrzeć chciano na Kreteńczyków. Oświadczenie to uczyniło Rosyę mocarstwem przewodniem w rozwiązywaniu sprawy wschodniej, tak europejskiej, jak i azyatyckiej.

P. Bülow w sejmie cesarstwa d. 8 b. m. usprawiedliwiał politykę w Chinach widokami i korzyściami handlowemi. Niemcy budować będą koleje. Nie czyhają na Chiny: owszem, chcą ich istnienia. Działają w porozumieniu z Rosyą, a nie wchodzą w drogę ani Francyi, ani Anglii — nikomu! Mówił także sekretarz i o Krecie: Niemcy wyszły z sali koncertowej, gdy koncert zawrzał dysharmonią. Z Rosyą stosunki po dawnemu serdeczne. Prusy łączy z nią zbyt wiele „tradycyj starych a drogocennych,. zbyt wiele żywotnych a ważnych interesów,“ aby inaczej być mogło.

D. 8 b. m. zagajono parlament angielski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ATAK WSTECZNICTWA.

Sprawami oświaty i wszelkiego ruchu umysłowego w Krakowie, a stamtąd i w całej Galicyi, usiłuje kierować garstka możnych, ustosunkowanych, wpływowych, „znanych“ i „poważanych“ — przez tych, którzy ich łaski i względów żebrać muszą. Ta rzesza stara się wtłoczyć całe społeczeństwo i jego potrzeby w taką formę, jaka dla niej jest najwygodniejsza. Staje na drodze wszelkim czynom, szlachetnym i pożytecznym. Samowolni szafarze dobra powszechnego starają się z praw ogółu zrobić jałmużnę, a z instytucyj społecznych — przytułek miłosierny tylko dla tych, których w odpowiednie świadectwa zaopatrzą „dobro-

---

Dziesięć rubli na Sachalinie, gdzie o „Iwanie“ Bałdanowie, który zarznął osiedleńca za 60 kopiejek, mówiono mi, że zabił „za pieniądze“; dziesięć rubli na Sachalinie, to taka suma, za którą można nająć zabójców i wymordować całą rodzinę.

Za dziesięć rubli „Iwany“ najęli się do powieszenia Głowackiego w „ustronnem“ miejscu. Ale jemu ktoś za 20 kopiejek ujawnił spisek.

— Cóż było począć? Zawiadomić władzy — niepodobna. Czy tak, czy inaczej — wszystko jedno, zabiją.

Głowacki zaopatrzył się w nóż i postanowił mieć się na baczności. Pewnego razu, gdy przed wieczorem szedł do miejsca „ustronnego,“ rzuciła się na niego banda „Iwanów“ i jeden z nich, Stiopka Szibajew, zarzucił mu na szyję pętlę. Głowacki zdążył wszakże uchwycić jedną ręką powróz, a drugą uderzył Stiopkę nożem w brzuch. „Iwany“ rozbiegli się.

— I cóż wy, niegodziwcy? — wołał Głowacki i pochyliwszy się nad Szibajewem, leżącym w kurczach przedśmiertnych, zapytał:—I cóż, udusiliście Głowackiego, łotrze?

W więzieniu zabójstwo! Zjawiła się władza. Konającego Stiopkę zaniesiono do szpitala. Głowackiego aresztowano i osadzono w osobnej celi.

Tymczasem „Iwany“ ochłonęli. Rzucili się do celi, gdzie siedział bezbronny Głowacki, wyłamali drzwi i poturbowali go śmiertelnie. Złamali mu rękę, potłukli głowę, „odbili wszystkie wnętrzności.“ Na szczęście, czy też na nieszczęście, nadbiegła straż i zdążyła ledwie uratować Głowackiego, napół żywego, bez przytomności, z rąk ludzi rozwścieczonych.

Głowacki został kaleką na całe życie. Nawet mówić mu trudno. Brak tchu.

Śledztwo prowadzili na Sachalinie ludzie przygodni, wcale nie obeznani z tą czynnością *). Na świadków powołano tych samych „Iwanów,“ którzy, naturalnie, „zasypali“ Głowackiego:

— Zabił przez zemstę!

I ten człowiek, który bronił tylko swego życia, został skazany na dożywotnie „doświadczanie,“ na dozgonny pobyt w turmie kajdanowej i 30 batów. Chłosty mu nie wymierzono, bo czyż można bić prawie umierającego? Doktór orzekł, że nie wytrzyma on kary cielesnej. Ale Głowacki, siedząc w „kajdanowej,“ musi drżeć o życie własne i w dzień i w nocy, każdej chwili. „Iwany“ skazali go na śmierć i za Bejlina, i za Stiopkę.

— Oto u nas prawdziwy męczennik! — mówił mi nadzorca więzienia, p. Knecht.

— I cóż pan na to?

— A cóż ja mogę? Tak śledztwo przeprowadzono!

Zapytywałem katorżników:

— Dlaczegóż milczeliście?

— I po cóż się wtrącać? Powiedzieć, że „Iwany“ najęli się do zamordowania jego, to zabiją!

Bejlin siedzi w tem samem więzieniu. Rozmawiałem z nim.

— Wszak z twego powodu mogli niewinnego człowieka powiesić. Dlaczegóż sam nie powiedziałeś?

— Dla mnie to niekorzystne. Po co mam o innych myśleć? Niech każdy troszczy się o siebie.

Głowacki nigdzie nie wychodzi ze swego „numeru.“ Dla rozmowy ze mną oprowadzano go po podwórzu więziennem pod konwojem, żeby nie zabito.

— Zawsze mam nóż przy sobie. „Iwany“ nie darują mi Stiopki. Powiedzieli: zabiją, to zabiją. Więc oto tak żyję i czekam.

Ten najnieszczęśliwszy człowiek w świecie, skazany na śmierć w więzieniu kajdanowem, kiedym zapytał, czy nie mogę mu być w czemkolwiek pomocnym, prosił mię nie o siebie, lecz o innego:

— Jemu bardzo ciężko!

Chrapy.

„Chrapy“ — jest to druga kasta katorgi. Chcieli być „Iwanami,“ lecz brak im

*) Dopiero od 1 lipca r. z. dano Sachalinowi dwu sędziów śledczych, którzy są zarazem sędziami pokoju.

czyńcy“ lub ich pachołkowie. Takiem miłosierdziem od lat wielu jest oświata kobiet, która była już niejednokrotnie przedmiotem żebraniny ulicznej. Ogół nasz ma jeszcze świeżo w pamięci ohydne przeszkody, dowodzenia bezczelne i cyniczne, które prowadziły do ukochanego ideału tych panów: zrobienia z kobiety najemnicy i nałożnicy. Ideał ten przegląda także z programu szkół wydziałowych i formalistyki, utrudniającej kobietom wstęp do wszechnicy Jagiellońskiej, a obecnie, obok innych mętnych pobudek, wywołał on zamach na kursy imienia Baranieckiego.

Zobaczmy najpierw, na jakich podstawach oparta jest oświata kobieca w Galicyi. Do r. 1895 istniały tam: klasy ludowe, klasy t. zw. wydziałowe, ustanowione tylko dla miast większych (w Krakowie szkoła taka była pod wezwaniem św. Scholastyki). Rada miejska krakowska, przyszedłszy do przekonania, że powyższe dwa typy szkół nie zaspakajają potrzeb ludności, dodała do zakładów św. Scholastyki kosztem własnym kurs dopełniający dwuletni, który obejmował: 1) historyę literatury polskiej, niemieckiej i francuskiej, tudzież wiadomości niezbędne z literatury powszechnej; 2) geografię; 3) historyę polską; 4) historyę nowszych czasów; 5) historyę sztuk pięknych; 6) rysunek i naukę o stylach; 7) pedagogię, dydaktykę i hygienę, w zakresie niezbędnym dla przyszłej matki do wychowania dzieci.

Ustawa z r. 1895 przyniosła pewną korzyść tylko prowincyi, gdyż pozwoliła we wszystkich miastach, miasteczkach, a nawet i wioskach zakładać szkoły wydziałowe 3-klasowe, jeżeli w ostatniej klasie uczelni ludowej będzie więcej, niż 30 dziewcząt. Ogniska atoli większe, Kraków i Lwów, straciły dużo na tej reformie. Zamiast bowiem czteroklasowej szkoły wydziałowej wolno im mieć trzyklasową nowego typu, obciążającą fundusze miejskie. Wolno także, kosztem tych funduszów, stworzyć trzy klasy wyższe, które wszakże nie obejmują nawet całego zakresu dawnych dwuletnich kursów dopełniających.

W lipcu r. z. dr. Kasparek zaproponował radzie miejskiej znieść owe kursy dwuletnie dopełniające, *dla oszczędności*, kursy zaś im. Baranieckiego połączyć ze szkołą wydziałową św. Scholastyki. Przeciwko wnioskowi temu wystąpili pp. radca Rotter, dr. Bujwid i rozumniejsi członkowie rady miejskiej.

Gdyby projekt p. Kasparka przeszedł, kursy im. Baranieckiego byłyby całkowicie pogrzebane. Pochłonęłaby je niska skala nauki tudzież ustawa szkoły wydziałowej, która po za uczenicami stałemi nikogo nie dopuszcza do słuchania wykładów. Zadaniem kursów Baranieckiego było zapełnienie w wychowaniu kobiet naszych tej wielkiej luki, której nie potrafi zapełnić ani szkoła średnia, ani uniwersytet. Są one czemś pośredniem, a co najważniejsza, że nie robią żadnych utrudnień, nie stawiają za warunek poddaństwa lub wieku określonego. Głównie zaś mają na względzie rozszerzenie widnokręgu wiedzy w takim zakresie, ażeby słuchaczka w przyszłości, jako matka lub pracownica płatna, mogła się stać pożytecznym członkiem społeczeństwa i posiąść zasoby sił umysłowych, niezbędnych do walki z nędzą, ciemnotą i wstecznictwem.

To oczywiście nie może się zgadzać z dążnością „działaczów“ i „dobroczyńców“ krakowskich, którzy program szkół wydziałowych ułożyli na podobieństwo zupy rumfordzkiej. Nędzarz powinien tyle tylko jeść, ażeby mógł śmiercią naturalną umrzeć. Żebrząca o światło kobieta powinna tyle nauki otrzymać, ażeby wystarczyło jej do spełniania zadań naturalnych i obowiązków pani-kucharki na usługach głowy rodziny. A więc: z *chemii* uczenice mają poznać „najważniejsze pierwiastki, związki i przeobrażenia chemiczne, takie zwłaszcza, które mieć mogą zastosowanie w przyszłem życiu praktycznem kobiety i gospodarstwie domowem.“ Z *fizyki* te zjawiska, które mogą mieć zastosowanie w życiu codziennem i gospodarstwie domowem. Z *geometryi*, powinny posiąść znajomość form geometrycznych, pomiaru powierzchni i brył, kopiowania figur geometrycznych, ze szczególnem uwzględnieniem robót kobiecych!

Oczywiście kursy Baranieckiego po połączeniu ze szkołą, posługującą się takim programem, wytwarzałyby kucharki inteligentne i żony-klucznice. Warto tylko, ażeby p. Rostafiński, jako przyrodnik, wprowadził botanikę i zoologię, zastosowaną do życia praktycznego i gospodarstwa, tj. żeby uczenice wiedziały, jakiemi roślinami najlepiej jest tuczyć świnie na smaczne szynki, któreby się przyczyniły do zaokrąglenia policzków i brzuchów radcowskich. Warto także wprowadzić „ekonomię polityczną“ w zastosowaniu do życia rodzinnego, ku wygodzie „obywateli kraju,“ ażeby mogli łatwiej prowadzić podwójną buchhalteryę swych rodzin legalnych i nielegalnych. Wniosek p. Kasparka nie upadł. Po kilku miesiącach odżył on w skurczonych sercach i wązkich umysłach „dobroczyńców,“ na których czele stoi p. Rostafiński. Oto wkrótce powtórnie i ostatecznie w radzie miejskiej mają być rozstrzygnięte losy kursów im. Baranieckiego. Stanie się tedy nietylko nadużycie woli założyciela, ale gwałt publiczny; krzywda społeczeństwu. Czyż podobna, żeby lepsza, szlachetna i uczciwa cząstka jego zachowała się biernie i patrzyła spokojnie na ten atak wstecznictwa? Czy podobna, żeby przemoc tej gromady strupieszałej, samowolnie i bezczelnie usiłującej przewodzić i rozporządzać losami instytucyj publicznych, nie miała końca? Niechże ta lepsza cząstka postara się dowieść, że wrogowie światła i wszelkiej

---

odwagi. Ze względu na swoje tchórzostwo powinniby należeć do „szpanki“ — ale miłość własna nie pozwala.

„Chrapy“ nie zasługują na to, ażeby o nich długo mówić. Są to tacy sami krzykacze, jak na zebraniach gminnych. Gdy w więzieniu zdarzy się jakiś wypadek, „zamieszka,“ chrapy zawsze wychodzą naprzód, najwięcej gardłują, krzyczą, przemawiają. Słowami gotowi są wszystko do góry przewrócić. Ale gdy przychodzi do „rozprawy“ i pojawia się władza, milkną i znikają w tylnych szeregach.

— Cóż ty, koszlawy dyable?! — napadają więźniowie na chrapa po skończonej „rozprawie.“ — Darłeś się, a potem — w tył?

— A cóż? Jeden mam iść za was wszystkich? Wszyscy milczą, więc i ja.

Tutaj zaczyna się wykręcać i usprawiedliwiać, dlaczego zamilkł, gdy przyszła władza. „No, ale za to niech jeszcze coś podobnego się zdarzy, wtedy pokaże, do czego jest zdolny!“ Nazwa „chrap“ jest lekko żartobliwa. Pochodzi od słowa „chrapać.“ Tem się określa ich działalność: „Chrapią“ na wszystko. Niema takiego rozporządzenia, które oni uważaliby za właściwe. Są ciągłymi oponentami. Wszystko, zdaniem ich, niewłaściwe, nieprawne, niesprawiedliwe. Wszystko ich oburza. Czy to zadadzą komu „lekcyę,“ chociażby niezbyt ciężką, czy posadzą do kozy, chociaż słusznie, czy nie umieszczą w szpitalu, człowieka nawet zdrowego zupełnie, „chrapy“ zawsze krzyczą (naturalnie po za władzą):

— To niesprawiedliwość!

Katordze, wiecznie niezadowolonej, to się podoba. Tam, gdzie dużo niezadowolenia, zawsze mają powodzenie krzykacze. Katorga nadto lubi, jeżeli kto mówi dobrze i gładko. Dar ten jest tam wysoko ceniony. Śród „chrapów“ są wcale nieźli mówcy. Sam słuchałem z wielką ciekawością, podziwiając ich znajomość audytoryum. Jak umieją poznać słabe strony swojej publiczności i jak wybornie grają na nich! Dzięki temu, „chrapy“ czasem—gdy więzienie burzy się zanadto—wywierają swój wpływ. „Rozpalają.“ Dużo „historyj“ więziennych, za które następnie ciałom i krwią płaciła biedna, potulna „szpanka,“ wywołali chrapy. Na „szpance,“ jak zwykle, skupiło się, a chrapy zdążyli zawczasu cofnąć się na plan ostatni.

Chrapy przeważnie są także „gardłaczami,“ tj. takimi, którzy w sporach biorą stronę tego, kto da więcej. Skorzy są i do obrony, i do oskarżenia — nawet gdy chodzi o życie — za pieniądze. Gdy np. ktoś swoją niegodziwością naraził się towarzyszom, chrapy za pieniądze bronią go, na wiecach więziennych krzyczą, przekonywają, że takiego aresztanta-towarzysza ze świecą trzeba szukać. Jeżeli ktoś chce komu dokuczyć, przekupuje chrapów. Oni także rzucają potwarz, posądzają o oszczerstwo, denuncyacyę; ze swego grona powołują świadków, domagają się kary dla przykładu. Więzienie skore jest do podejrzeń, a ten, kogo posądzą o donosicielstwo, zagrożone ma życie. Ileż ofiar, zatraconych przez tę nieszczęśliwą, ciemną, rozjątrzoną turmę, obarczyłoby sumienie chrapów, gdyby oni mieli jakiekolwiek sumienie!

Mają oni dwa wielkie święta coroczne — na wiosnę i w jesieni — gdy przybija „Jarosław“ dla wyrzucenia na Sachalin nowego ładunku „odpadków społecznych.“ Wtedy chrapy rej wodzą śród nowicyuszów. Ci zaś, oszołomieni, niedoświadczeni, uważają „chrapów“ istotnie za „najlepszych ludzi na katordze.“ Biorą ich nawet za „Iwanów“ i starają się pieniędzmi zaskarbić ich względy.

W czas zwyczajny chrapy żyją kosztem „szpanki“; ta nieszczęśliwa, niezaradna, pozostawiona bez pomocy rzesza aresztancka, drży przed zuchwałym, bezczelnym chrapem:

— Niech go tam! Jeszcze w taką kabałę wpędzi, że i kosteczek nie pozbierasz.

I płacą haracz.

(D. c. n.).

kich czystych bezinteresownych uczuć społecznych, nie mogą wiecznie panować i tamować rozwoju, że nie mogą swych osobistych ideałów i dążeń narzucać bezkarnie ogółowi. Czas, żeby nareszcie te tłuste karpie i żarłoczne szczupaki, najłatwiej zdobywające żer w mętach, niedostępnych dla promieni, miały dla siebie sadzawkę osobną, niepołączoną z łożyskami, w których płynie czysta fala potrzeb społeczeństwa.

W SPRAWIE ODCZYTÓW PUBLICZNYCH.

Artykuł, zamieszczony w nr. 5-ym *Prawdy* p. t. „Urania warszawska,“ skłania mnie do wypowiedzenia kilku uwag o znaczeniu i wartości odczytów publicznych. Autor tego artykułu twierdzi, że u większości słuchaczów niewiele pozostaje z tego, co usłyszą i że odczyty publiczne mają na celu ten głównie wzgląd, aby zaprawić ogół do nauki i wzbudzić w publiczności zamiłowanie do wiedzy przyrodniczej.

Zdaje mi się jednak, że taki pogląd nie odpowiada potrzebom społeczeństw demokratycznych. Dawniej, kiedy nauka była udziałem niewielu wybranych, odczyty publiczne posiadały charakter rozrywki dla ludzi światowych. Uczęszczający na nie słuchacze nie mieli wcale zamiaru nauczyć się czegoś użytecznego, chcieli tylko dowiedzieć się, jakie są wyniki najnowszych badań przyrodniczych i czem się też zajmują uczeni w laboratoryach i gabinetach. Był to ten sam rodzaj ciekawości, który przeciętnego filistra skłania do bywania na pierwszych przedstawieniach teatralnych, do zwiedzania pracowni modnych malarzy i rzeźbiarzy, a nawet oglądania mieszkań sławnych artystek. Rzecz naturalna, że prelegenci musieli ulegać ogólnemu prądowi i stosować się do wymagań większości słuchaczów, dlatego też o dydaktycznem znaczeniu odczytów nawet mowy być nie mogło. Dobierano jaskrawe tematy, rozprawiano o skutkach odkryć bardzo wątpliwych, wygłaszano szumne frazesy na cześć nauki, wymieniano nazwiska sławnych uczonych i na tem koniec. Wyjątek pod tym względem stanowili uczeni angielscy. Nazwiska Faradaya i Tyndalla na zawsze pozostaną głośnemi zarówno w historyi nauki ścisłej, jako też i na polu popularyzacyi wiedzy.

Łatwo zrozumieć, że odczty dawniejsze prawie żadnych nie dały rezultatów. W naszych jednak czasach zaszła zdzenna pod tym względem zmiana. Wpływ wiedzy na wszystkie gałęzie działalności ludzkiej jest obecnie tak potężny, że nawet najprostszy robotnik pojmuje ważność nauki i wszelkiemi siłami dąży do jej nabycia, od niej bowiem spodziewa się wyzwolenia moralnego i materyalnego. Ta właśnie świadomość potęgi nauki wywołała na Zachodzie potrzebę zakładania uniwersytetów ludowych, które w Anglii i Stanach Zjednoczonych cieszą się ogromnem powodzeniem. Tak np. w r. 1897 uniwersytety ludowe w Anglii liczyły aż 5,700 słuchaczy. Prawda, że wykształcenie mas ludu tych krajów stoi bez porównania wyżej, niż u nas i że szkoły ludowe na Zachodzie dosięgły niezmiernie wysokiego stopnia rozwoju, lecz z drugiej strony widzimy, że i w wewnętrznych guberniach Cesarstwa, gdzie oświata ludowa z pewnością nie przerosła naszej, świadomość potrzeby nauki i jej pożytku ogarnia coraz szersze warstwy ludności. Tak np. systematyczne lekcye, wykładane w audytoryum miejskiem w Odesie, mają ogromne powodzenie. Liczba słuchaczów dosięgła obecnie kolosalnej na tamtejsze stosunki cyfry 4,759, a pomiędzy nimi 1,465 robotników. Przedmiotami wykładu są: historya, geografia, literatura, chemia, fizyka i geologia. Swoje powodzenie lekcye zawdzięczają przeważnie przystępności, gdyż są obliczone na bardzo skromny stopień wykształcenia słuchaczów. Natomiast wykłady popularne z nauk przyrodniczych, urządzone staraniem profesorów uniwersytetu odeskiego, nie powiodły się, gdyż treść ich wymaga już dość wysokiego stopnia wykształcenia, którego przeciętny słuchacz nie posiada. Dla tej samej przyczyny nie udało się też przedsięwzięcie profesorów uniwersytetu moskiewskiego wydawania lekcyj dla samouków, gdyż pomimo bardzo sumiennej pracy najlepszych sił pedagogicznych Moskwy, liczba uczestników kursów dosięgła w r. 1897 bardzo skromnej cyfry 449. Usiłowania, podjęte w innych miastach uniwersyteckich Rosyi, dla tych samych, co i w Moskwie przyczyn, spełzły na niczem. Nie liczono się ze stopniem wykształcenia ogółu, który pozostał głuchym na wszelkie nawoływania kapłanów nauki. Dopiero w ostatnich czasach założono kursy popularne przy Towarzystwie pedagogicznem petersburskiem będą miały powodzenie, gdyż program ich jest niezmiernie praktycznym i odpowiada celowi — krzewienia wiedzy zajmującej wśród ludu. Dziś już liczba słuchaczów dochodzi do 2,000. Korzystając z doświadczeń innych krajów i zastanawiając się nad potrzebą naszego społeczeństwa, każdy pedagog przychodzi do wniosku, że odczyty popularne muszą być dwojakiego rodzaju: dydaktyczne i okolicznościowe. W przeciwnym razie narazimy się na bardzo niepożądany fakt, że salę odczytową zapełnią ludzie o bardzo różnych stopniach wykształcenia i rozwoju umysłowego, a co za tem idzie, że dla jednych wykłady będą zbyt popularne, dla drugich zaś zbyt trudne i niezrozumiałe. Na tę okoliczność bardzo słusznie zwrócił uwagę autor artykułu w *Prawdzie*. Odczyty dydaktyczne, obliczone na potrzeby ludzi inteligentnych z małem wykształceniem szkolnem, powinny mieć na celu udzielanie słuchaczom systematycznego cyklu wiadomości z różnych gałęzi wiedzy. Odczyty okolicznościowe zaś, przeważnie przeznaczone dla wykształconszych klas naszego społeczeństwa, powinny mieć na celu rozpowszechnianie wyników badań naukowych. Rzecz naturalna, że odczyty pierwszego rodzaju są bez porównania dla nas ważniejsze, niż drugiego, gdyż wykształcenie mas ludowych jest największym obowiązkiem każdego obywatela kraju. Biedny robotnik, borykający się z losem o kęs chleba, niema ani czasu, ani środków na to, aby samodzielnie pracował nad swojem wykształceniem i dlatego na warstwach oświeconych ciąży obowiązek przyjścia mu z pomocą. Klasy bogate zawsze znajdą możność poznania ruchu naukowego, od tego bowiem są dzienniki i książki.

Jeśli jednak odczyty popularne mają przynieść rzeczywistą korzyść, powinny uczynić zadość następującym warunkom:

1) być tanie;

2) obliczone na stopień rozwoju umysłowego słuchaczów inteligentnych, posiadających tylko elementarne wykształcenie;

3) wszystkie doświadczenia powinny być dokonane za pomocą najprostszych narzędzi i przyrządów, aby tym sposobem dać możność lepszego zrozumienia całego ich przebiegu, a nawet samodzielnego powtarzania;

4) słuchaczom po skończonym odczycie powinny być rozdawane drukowane lub litografowane konspekty, zawierające treść lekcyi z dodaniem odpowiednich pytań i zadań;

5) byłoby bardzo pożądanem, aby pomiędzy słuchaczami i wykładającymi istniała pewna spójnia, pozwalająca pierwszym zwracać się z zapytaniami do drugich, czy to w formie rozmowy, czy też korespondencyi.

Jestem mocno przekonany, że podobne odczyty najniezawodniej przyczynią się do rozpowszechnienia gruntownych zasad wiedzy wśród tych warstw naszego społeczeństwa, które jej najwięcej potrzebują.

W końcu dodać muszę, że nie podzielam pesymizmu p. Znatowicza co do braku odpowiednich sił pedagogicznych u nas. Prawda, nie należymy do społeczeństw bogato uposażonych w ludzi nauki, ale wśród młodszego pokolenia naszych przyrodników i matematyków znajdzie się niejeden zdolny nauczyciel, który z korzyścią pracować może na polu krzewienia użytecznych wiadomości wśród maluczkich tego świata.

Dr. Karol Hertz.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Skup propinacyj.

Do rozpoznania praw właścicieli propinacyj i przysądzenia im odszkodowań, utworzone zostały komisye gubernialne do których interesowani zwracać się powinni ze swemi pretensyami i dowodami. Pretensye te uzasadnić należy: 1) dowodami, że ktoś lub jego poprzednicy korzystali z prawa propinacyi przed 9 listopada 1866 r. i nie zaniechali go w ciągu ostatniego dziesięciolecia przed 13 stycznia 1898 r.; 2) dokumentem posiadania; tu należą: akty kupna, działów, wyroki sądowe, Najwyższe rozkazy, ukazy Senatu, przywileje królów polskich i wielkich książąt litewskich, postanowienia sejmów itd.; 2) wiadomościami o dochodach z propinacyi w ostatniem pięcioleciu przed wprowadzeniem monopolu, do czego służyć będą przedewszystkiem umowy dzierżawne. Wszystkie te dowody złożone być mają komisyi w ciągu roku od dnia jej ogłoszenia w *Wiedomostiach* gubernialnych.

Przewidujemy, iż w znacznej części wypadków posiadacze praw propinacyjnych nie będą mogli złożyć dokumentów żądanych. Nie byliśmy nigdy skrupulatni w przechowywaniu ich i bardzo często, a w tych wypadkach może najczęściej, akty pisane ustępowały miejsca zwyczajom, które regulowały stosunki, nie nasuwając przypuszczenia, że kiedyś okażą się niewystarczającymi. Nie mówiąc już o sięgających nieraz w daleką przeszłość momentach nabycia praw propinacyjnych, samo wykazanie ich nieprzerwanej ciągłości przez lat 10 i dochodów z lat 5 dla niejednego będzie trudnem lub niemożliwem. Bo kto przechowywał umowy dzierżawne, jeżeli je wogóle zawierał z należytemi formalnościami? W wielkich dobrach, prowadzących ściśle rachunki swej gospodarki, wszystko to się znajdzie, ale w innych, zadawalających się buchhalteryą notatkową?

W każdym razie trudna to do rozwikłania sprawa, która wymagać będzie nietylko dowodów piśmiennych, ale dużo, bardzo dużo poczucia sprawiedliwości i dobrej woli.

Nowe pismo.

Barszcz łódzki będzie miał dwa grzyby dziennikarskie: obok *Rozwoju* wystąpił *Goniec Łódzki*. Jak widać z prospektu,

drugi ten statek będzie płynął kierunkiem pierwszego, tj. puści się z prądem interesów wielkiego przemysłu. Bo oto jaką wywiesił flagę:

„Redakcya nie rości sobie pretensyi do oddziaływania na myśl publiczną, do przodowania jej lub wrzekomego (?) oświecania.“ Na pozór dziwnem się wydaje, jak można bez tej „pretensyi“ zakładać pismo. Ale to tylko na pozór. Wszakże *Goniec* wychodzić będzie w Łodzi... która „stała się *chlubą* (!) Królestwa Polskiego (chyba Niemiec)... Spotęgowana wytwórczość fabryczna zdwaja (?) pomyślność ogólną, dostarcza milionom zarobku, rozlewa na coraz szersze warstwy ludności pożądany dobrobyt (!), do jakiego każdy pracownik skrzętny a ustawom posłuszny ma niezaprzeczone prawo. Dziennik, który doda bodźca owym prądom i czuwać będzie nad rozkwitem przemysłu fabrycznego, zasłuży się dobrze naszej społeczności, tak jak zasłużyły się jej starsze organy naszej prasy, pielęgnując troskliwie cenny dobytek wiary, języka i ojczystej kultury.“

Prawdziwa Marta biblijna z tego *Gońca*: nam, starszym organom pozostawił pielęgnowanie wiary, języka i kultury ojczystej, a sobie wybrał „najlepszą cząstkę“— sławienie gszeftów fabrycznych.

Jakkolwiek miłosna pieśń prospektu jest bardzo wyraźna, wątpimy, czy ona głęboko wzruszy serca oblubieńców. Naszą niemiecko-żydowską „chlubę“ mało to cieszy, że tam ktoś będzie w druku dorabiał jej idealne promienie, kiedy ona i bez nich robi bardzo dobre interesy i „wypiera zwycięzko zagraniczny towar“ — jak mówi *Goniec* — zagranicznemi pieniędzmi, zagranicznymi pracownikami i zagranicznemi dążeniami. Nasi dobrodzieje z Łodzi nie potrzebują trubadurów.

Cenna książka.

Bardzo długo społeczeństwo nasze musiało czekać na książkę pierwszorzędnej pożyteczności, ale za to otrzymało wyborną. Ma prawo do tej nazwy „Poradnik dla samouków,“ wydany przez p. A. Heflicha i S. Michalskiego. Obecnie wyszła część pierwsza pod redakcyą S. Dicksteina, J. Ejsmonda, S. Kramsztyka, L. Krzywickiego i A. Mahrburga, obejmująca matematykę i nauki przyrodnicze, do których włączono psychologię. Każdy dział poprzedzony jest krótkim wstępem, dającym samoukowi wskazówki ogólne, przy pojedynczych zaś dziełach mieszczą się krótkie oceny i uwagi. Nadto oprócz nauk teoretycznych uwzględniono stosowane, np. obok mechaniki — technologię, obok chemii — agronomię, ogrodnictwo i t. d. Tym sposobem „Poradnik“ zastępuje prawie nauczyciela, zwłaszcza że wydawcy zobowiązują się udzielać objaśnień listownych, żądając tylko przysłania na odpowiedź marki pocztowej.

Zasiłek z Kasy Mianowskiego pozwolił na oznaczenie ceny bardzo niskiej — za 392 str. druku tylko 50 kop. (niestety, przesyłka pocztowa wynosi 30 k.). Jeżeli taniość książki jest wogóle pożądaną, to tem bardziej takiej, która rozchodzić się będzie śród ludzi niezamożnych, a do nich z natury rzeczy należą samoucy.

W roku bieżącym ma wyjść dalszy ciąg „Poradnika,“ który obejmie: nauki prawno-społeczne, językoznawstwo, historyę, dzieje literatury, filozofię itd.

Wspomnienie.

Korespondent poznański *Słowa*, mówiąc o niewesołych zapustach tegorocznych, przypomina dawne czasy, w których było inaczej:

„My starsi pamiętamy dobrze świetne karnawały poznańskie, a na ich wspomnienie brzmią nam w uszach dzwonki i gruchawki mknących z sankami paradnych cugantów. Było to życie, aj było, było używanie pełnego „dziś“ bez pytania o jutro. Prawda, stojące po ulicach żydostwo, patrząc na tę wystawność szlachecką, która dawnej magnackiej chciała budzić wspomnienia, wołała w głos i takt dzwonków i gruchawek przed sankami, wołała satyrycznie: „Schulden, Schulden, Schulden!“, a druga znowu trzaskaniu z harapnika wtórowała basowym głosem: „Bankrot! Bankrot!“ Ale ktoby tam zważał na gawiedź, a do tego jeszcze żydowską! Żyło się i używało, o zbycie długów zaś niech się troszczą wierzyciele, bo tych to chyba najwięcej obchodzi. Minęło to wszystko, dzisiaj kuligi stały się już wspomnieniem tylko, sanna nawet od lat długich rzadko się ściele, Żydzi głosu dzwonków po dawnemu nie przedrzeźniają, a z bankructwami dawno się już świat tak oswoił, że za zwykłe zjawisko ekonomiczne i finansowe je uważa.“

Wspomnienie to, które tak szczerze autorowi z pod pióra się wyrwało, ma nietylko wartość prawdy, ale także wiarogodności. Gdyby ono odezwało się w dzienniku mniej prawomyślnym, zapewne zostałoby wciągnięte na listę „potwarców przeszłości“ i „kalających własne gniazdo.“

Ze sztuki.

Wystawa konkursowa obrazów i rzeźb w Towarzystwie zachęty sztuk pięknych jest dosyć pouczającą. Okazuje bowiem dowodnie: 1) że artyści znakomici lekceważą zupełnie ten przybytek i nie mają zaufania do jego wyroków; 2) że słabsi posiadają mało talentu, ale za to dużo odwagi, która im pozwala sięgać po wawrzyny pracami odpowiedniemi zaledwie do popisów szkolnych i 3) że o nazwę nowego kierunku w malarstwie ubiegają się dziwadła. Szczegółowo o rozmaitej biedzie konkursowej mówić nie będziemy, przedstawimy tylko laureatów: nagrodę drugą otrzymał p. Pankiewicz za ładny, miękki, wypieszczony krajobraz i p. Wasilkowski za brzydkie, sino-czerwone kobiety („Żądze“). Lepszym od nich jest obraz p. t. „Chmurzy się“ p. Żukowskiego, odznaczony listem pochwalnym. W dziale rzeźby nagrodzono staranne prace panny Gerson i Glicensteina. Dla objaśnienia ostatniego z naszych wniosków dodać musimy, że p. Wyspiański w dalszym ciągu swych dziwactw, mających wyobrażać „nowy kierunek,“ zawiesił na ścianie długie pasy z bezmyślnymi zygzakami, nad którymi widnieje u góry olbrzymia ręka, a u spodu podpis: „Bóg wyprowadza światy z chaosu.“ Za witraże tego rodzaju, chociaż wystawione po za konkursem, przyznano p. W. pierwszą nagrodę. To także coś niezwyczajnego.

Oto wszystko, co o wystawie konkursowej powiedzieć można.

Miniony tydzień nie był szczęśliwym w malarstwie. Dodano do „Golgoty“ dwa obrazy: „Chrystus w ogrójcu“ Mehofera i Stanisławskiego, oraz „Chrystus w Emaus“ Stanisławskiego nie dorastają ani nastrojem, ani techniką do głównej panoramy. Pierwszy, który ma przedstawiać jedną ze wspanialszych chwil życia Chrystusa, a przedstawia kobietę z oświetlonym na piersiach kielichem i klęczącym przed nią mężczyzną, pojęty został zbyt zakrystyjnie i wykonany bez należytej perspektywy; drugi zaś stanowi pstrokatą ścianę parawanu w stylu japońskim. Prawdy, podniosłości, majestatu i dramatycznego uroku niema w obu. Są to malowanki.

Stachiewicz wystawił u Krywulta głowy postaci kobiecych Sienkiewicza. Wartość ich bardzo nierówna. Piękne są: Marynia, Hania Kurcewiczowa, po części Basia, inne zrobione na obstalunek i to nie zawsze starannie. Od wielkiego artysty musimy żądać wiele.

„Nasze cele i drogi.“

Pod tym tytułem p. Kuczalska-Reinschmit wydała broszurę (szkic do programu działalności kobiecej). Autorka sięga do czasów odległych i kreśli stanowisko społeczne kobiet w różnych epokach dziejów naszych. Na mocy wybitnych faktów stwierdza energię i samodzielność niewiast, ich zdolności administracyjne, a nawet rycerskie. Przytacza słowa Ottmana, który na zasadzie dokumentów twierdzi, że „kobieta w epoce kiełkującego humanizmu znajdowała się w stosunkowo pomyślnych warunkach i korzystała z pewnych prerogatyw w rodzinie patryarchalnej, gdyż nie pozostawała bierną, lecz współdziałała w równej mierze z mężczyzną w wytworzeniu kultury narodowej i w owych ruchliwych czasach odznaczała się niemniej zacnym sposobem myślenia i siłą charakteru. Dzięki temu, że ówczesne podstawy wychowania były jednakowemi dla kobiet i mężczyzn, pomimo ich różnych zadań życiowych.“ Takiej roli społecznej p. Kuczalska żąda od kobiet naszych i dzisiaj, oczywiście — w szerszem pojęciu, zgodnem z ogólnym rozwojem i postępem. Całkiem słusznie autorka twierdzi, że w spełnieniu zadań chwili obecnej bardzo wiele zdziałać mogą stowarzyszenia. Owe zadania ruchu kobiecego u nas p. K. streszcza w sposób następujący: Przystosowanie wychowania dziewcząt do wymagań obecnych warunków życia pod względem praktycznym, zawodowym i fizycznym. Organizowanie i rozszerzanie zawodowej pracy kobiet. Krzewienie w społeczeństwie przeświadczenia o potrzebie gruntownej i wyższej nauki dla kobiet, lepszej dla nich znajomości przysługujących praw i warunków bytu, oraz szerszego koła zainteresowań dla dokładniejszego spełniania obowiązków rodzinnych i obywatelskich, tudzież sharmonizowania intelektualnego małżonków. Czynna praca nad upraszczaniem gospodarstwa, aby módz więcej czasu poświęcać pracy obywatelskiej wogóle, a szczególnie w zakresie wychowania, wykształcenia, hygieny, oraz interesów nauczycielstwa. Straży etyki społecznej. Popierania organizacyi zawodowej pracy kobiet. Oświaty ludu miejskiego i wiejskiego ze specyalnem uwzględnieniem kobiet. Udziału w zarządzie dobroczynnością publiczną. Do najpilniejszych spraw autorka zalicza założenie „Towarzystwa przyjaciółek młodej dziewczyny.“ Wogóle wytknięte przez p. Kuczalską-Reinschmit cele i drogi naszym kobietom są bardzo właściwe i ważne. Niema tam czczych haseł, lecz rozumowania i oświetlenie kwestyi na tle życia społecznego i ekonomicznego. Nie na wszystko wszakże godzić się można. Np. stanowczo jest przez autorkę przeceniona rola kobiety w rozstrzygnięciu sporu z dziedziny wychowawczej: czy języki starożytne są potrzebne? Matki, które za pośrednictwem ujednostajnienia programu szkół posiądą znajomość tych języków, „będą mogły rozsądzić, kto ma racyę, czy zwolennicy klasycyzmu, czy ci, co nawołują do pozostawienia nauki języków martwych specyalistwom uczonym w niektórych kierunkach.“ A wtedy na szalę tej walki o klasycyzm kobiety rzucą swe wpływy w rodzinie i społeczeństwie, aby ją rozstrzygnąć w sposób właściwy. Więc aż takiego środka trzeba?! Jakkolwiek mamy wielkie uznanie dla różnych zadań kobiet, jednak sądzimy, że tym razem wprowadzenie nowego żywiołu niewieściego do kwestyi, wcale by jej nie wyjaśniło, lecz zagmatwało bardziej. Zresztą dziś, po licznych i wyczerpujących roprawach, opartych na doświadczeniu, tak ją już postawiono, że można się spodziewać w niedalekiej przyszłości następującego rozstrzygnięcia: języki martwe nie powinny

być przedmiotem obowiązkowym w szkołach. Co do „sharmonizowania intelektualnego małżonków," zdaje się, że do tego nie doprowadzą cele i drogi, wytknięte przez p. Kuczalską... *p.*

BADANIA NAUKOWE.

MISTYCYZM PIERWOTNY.

James Mooney, chociaż jeden z najmłodszych agentów-badaczy Biura etnologicznego w Waszyngtonie, posiada w świecie naukowym imię bardzo poważne i zasłużone. Jako malec dwunastoletni rozpoczął on studya, jeśli studyami można nazwać namiętne uczenie się języków plemion czerwonoskórych i przejęcie się zwyczajami tego szczepu. Władając wielu mowami indyjskiemi, znając wybornie życie tej rasy, z biegiem czasu stał się on sumiennym i wybitnym badaczem. Niektóre jego prace, złożone nieraz z kilku lub kilkunastu stronic, pomimo nieznacznych rozmiarów zawierają istotne skarby spostrzeżeń i faktów, które prędzej lub później wywołać muszą zupełny przewrót w poglądach na filozofię ludów pierwotnych, taki, jakiego L. Morgan dokonał w zakresie naszych pojęć o budowie więzi społecznej. Instytucya Smithsońska wydała świeżo olbrzymią jego pracę *), poświęconą t. zw. „tańcowi duchów" wśród Indyan i rzucającą bardzo ciekawe światło na psychologię mistycyzmu wogóle.

W drugiej połowie ubiegłego dziesiątka lat śród szczepów indyjskich w pobliżu pasma gór Skalistych i w preryach zaczynają ukazywać się prorocy, którzy uczą lud nowych zasad moralności i przepowiadają wyzwolenia rasy czerwonoskórej od białych, oraz zupełne odnowienie świata. Głęboki sen miał spaść na wierzących, podczas którego odbyłyby się wielkie katastrofy: nowy świat z nowymi tworami pokryje powierzchnię ziemi, płomienie i huragany zniszczą białych, zmarli przyjaciele zmartwychwstaną i zajmą dawne miejsce wśród znajomych. Ruch mistyczny udziela się coraz dalej i wyszedłszy z brzegów Pacyfiku, rozszerza się na coraz dalsze plemiona. Prorocy wymagają przedewszystkiem skruchy za grzechy i poprawy obyczajów: porzucenia pijaństwa i lenistwa, niesolidarności i sobkostwa; niektórzy z nich głoszą powrót do zwyczajów pradziadowskich, zaniechania wynalazków i ulepszeń technicznych, wprowadzonych przez przybyszów białych. Indyanie przygotowują się modlitwą i tańcami do spotkania zapowiedzianego tysiącolecia, że użyjemy wyrażenia mistyków średniowiecznych. Zresztą ruch przybiera rozmaity charakter, odpowiednio do warunków, wśród których to lub inne plemię przebywało. U pokojowych szczepów Oregonu wierzono w nadejście kataklizmów nadprzyrodzonych, plemiona wojownicze i silne wzięły za oręż, ażeby zrzucić jarzmo cywilizacyi.

Poruszenie mesyanistyczne Indyan jest dla nas na razie obojętne, o ile chodzi o wierzenia i skutki praktyczne. Obchodzi nas w niem inna strona, mianowicie nastrój duchowy proroków i psychika u osób, uczestniczących w zborach. Mooney w pracy swojej dostarczył pierwszorzędnej wartości faktów dla rozbioru masowych ruchów mistycznych.

Zatrzymamy się przedewszystkiem nad psychologią proroków.

*) Mooney: The Ghost-Dance Religion. Waszyngton.

Jeden ze zwiastunów tysiącolecia, Wowoka, otrzymał usposobienie mistyczne po ojcu, który także był sławny jako prorok. W latach chłopięcych odznaczał się zamiłowaniem samotności i lubił rozmyślać, miewał widzenia i słyszał głosy tajemne. Podczas jego choroby na febrę zdarzyło się zaćmienie słońca, zjawisko, wywołujące wśród ludów pierwotnych zawsze wielkie wzburzenie. Pajutowie, plemię, do którego prorok należał, zostali podnieceni, zaczęli wydawać okrzyki trwogi, strzelać w powietrze. Wtedy Wowoka, pod wrażeniem katastrofy, „umarł," tj. popadł w stan bezwładności i zesztywnienia. Duch jego został wzięty do nieba. Ujrzał tam Wielkiego ducha wraz z duchami zmarłych plemieńców. Stwórca pokazał mu kraj zaziemski, poczem rozkazał mu powrócić na ziemię i nawracać rodaków z obietnicą, iż jeśli spełnią wszystkie polecenia, połączą się znowu z przyjaciółmi, którzy opuścili życie doczesne. Nadto nauczył go tańców mistycznych. Wowoka, po ocknięciu się, opowiada o tem współplemieńcom i staje się odtąd jednym z najczynniejszych proroków przyszłego tysiącolecia.

Inny prorok, Slocum, od pewnego czasu zaczyna rozmyślać nad losem rodaków, powoli zanikających i wymierających pod działaniem cywilizacyi. Ilekroć znalazł się w gęstwinie leśnej, klękał i modlił się. Skutkiem naprężonego stanu umysłowego zachorował, lecz myśl o konieczności ocalenia współziomków, wytępienia pijaństwa, gry w karty i lenistwa nietylko nie opuściła go, lecz owszem stała się jeszcze bardziej natrętną. Jednego dnia „umarł," przyjaciele zaczęli krzątać się około pogrzebu, przygotowano nawet już trumnę. Ku wielkiemu zdziwieniu wszystkich ożył on po kilku godzinach, opowiadając, iż był w niebie i tam otrzymał polecenie nauczać lud swój i sąsiednie plemiona o nowej prawdzie. Jak okazuje się, „śmierć" taka podczas choroby przytrafiła mu się dwukrotnie. Slocum opowiada o tem zdarzeniu w sposób następujący: „Nocą mój oddech wyszedł ze mnie, umarłem. Ujrzałem światło, wielkie światło, duszę moją. Spojrzałem przed siebie, ciało moje leżało bez duszy, było martwe." Duch proroka uniósł się ku niebu, ale aniołowie, będący przy wejściu, nie wpuścili go z powodu grzechów i rozkazali powrócić na ziemię i rozpocząć tam pracę apostolską nad podniesieniem moralności rodaków.

I inne przykłady są tego rodzaju. Każdy z proroków przedstawia wrażliwą organizacyę duchową, zdolną do głębszych uczuć narodowych i współczującą niedoli ziomków. Otoczony przez atmosferę naiwnych poglądów na siły przyrody i ducha, poddaje się rozpamiętywaniom mistycznym, bo w dziedzinie nadprzyrodzonej spodziewa się znaleźć radę na niedomagania i klęski, trapiące lud jego. Ulega wreszcie idei mistycznej, porzuca zwolna i nieraz w sposób gwałtowny dawny tryb życia, miewa coraz częstsze widzenia, dochodzi pod ich wpływem do coraz większego zdenerwowania, aż wreszcie zaczyna wpadać w szczególne stany. Ciało drętwieje, przytomność go opuszcza. Stany te przypominają osłupienie kataleptyczne. Po takiem przejściu duchowem pozostaje wspomnienie, iż duch wyszedł z ciała, odwiedził kraj cieniów i tam otrzymał polecenie nawoływania plemieńców do skruchy za grzechy i do poprawy obyczajów. Ci, którzy jak Mooney, mieli osobiście do czynienia z takimi prorokami, oświadczają, że nie godzi się ani na chwilę powątpiewać o ich dobrej wierze w własne posłannictwo. Jednocześnie zaznaczają oni szczegół charakterystyczny: ten sam apostoł nowej prawdy, który niewątpliwie wierzy w swoje zadanie i wpada w stany nienormalne, ale rzetelne, używa środków i środeczków szwindlerskich. Fałsz miesza się tam na każdym kroku z istotnem i głębokiem poczuciem obowiązków, udanie z rzeczywistością i prorok przedstawia osobliwe sprzężenie oszusta i wierzącego, kuglarza i zachwyconego. Fizyognomia jego duchowa odznacza się niestatecznością, przewyższającą wszelkie pojęcie.

Od kierowników przejdźmy teraz do tłumu, który szedł za nimi.

Zdaje się, głównego zastępu mistyków dostarczały osoby, dotknięte jakimś smutkiem, zwłaszcza zaś utratą kogoś ukochanego. Mooney opowiada o pewnej Indyance, która straciła jedyne dziecko. Zmarło ono nagłą śmiercią śród konwulsyj w ciągu kilku minut, zanim ojciec zdążył ubrać się i pospieszyć do jego łóżka. Skon dziecięcy doprowadził rodziców do kompletnej rozpaczy, zwłaszcza matka była niepocieszona i znajdowała się w takim stanie, iż przez pewien czas obawiano się o jej życie. Właśnie w tym okresie przedostała się do jej plemienia nowa nauka wraz z praktyką tańca duchów i porozumiewania się ze zmarłymi. Matka udała się na zbór, tam wpadła w trans, odnalazła swego chłopca i bawiła się z nim. Powróciwszy do domu, opowiedziała to mężowi, który początkowo nie chciał uwierzyć w opowieść żony, lecz bądź co bądź dał się namówić do wzięcia udziału w najbliższej ceremonii. Podczas tańców — seansu, powiedzieliby spirytyści obecni — wpadł także w stan podobny, duch jego powędrował do krainy zmarłych i ujrzał dziecko. Odtąd oboje zostają zapamiętałymi rzecznikami obrzędu, później zaś nawet kierownikami jego, transe zdarzają się im częściej i każda ceremonia bywa dla nich istotnem świętem, bo widują się z dzieckiem i nawet z innymi przyjaciołmi, którzy zmarli. „Każdy ojciec Indyanin — pisze Mooney — po utracie dziecka, dziecko zaś — rodziców, każdy kto stracił brata, siostrę lub przyjaciela, posiada ten sam powód uwierzenia w tańce duchów." Co do transów, przypominają one pewne stany uśpienia hypnotycznego. Wspomniany autor opowiada o kimś, że wpadając w osłupienie, sztywnieje cały. Niedowiarkowie początkowo robili z takiemi osobami różne doświadczenia: przez mięśnie przetykali igły, krajali ciało nożami i w inny sposób próbowali nieczułości, nie wywołując żadnego odruchu, któryby świadczył o bólu. Wobec tych faktów powzięto powszechnie przekonanie, że znajdujący się w takiem osłupieniu „umierają," tj. duch opuszcza ciało i odwiedza świat pozagrobowy, ażeby tam obcować ze zmarłymi krewniakami i znajomymi. Wogóle cały obrzęd, zwany „tańcem duchów," jest właśnie obliczony, o ile można, na podniesienie wyobraźni pierwotnej, skłonnej i bez tego do uniesień mistycznych, i do wywoływania nienormalnych stanów fizyologicznych. Mamy w dziele badacza amerykańskiego opis jednego z takich obchodów, w którym uczestniczyło około dwustu osób. Ubrani w białe suknie, pomalowani na twarzy i włosach w różne symboliczne wzory, poruszali się uczestnicy zwolna, tworząc olbrzymie koło i obracając się w takt przy dźwiękach dzikiej pieśni. Drugie paręset osób siedziało przy ogniskach, oczekując, gdy zbliży się na nich chwila zastąpienia kogoś z pośród zmęczonych tancerzy. Twarze tańczących były zwrócone ku środkowi. Kurz unosił się obłokami z pod ich nóg; niektórzy, zmęczeni długiem obracaniem się, śpiewem i pyłem, opuszczali koło; inni natychmiast zastępowali ich miejsce. Po każdym obrocie olbrzymiego korowodu orszak zatrzymywał się, odpoczywał chwilkę i rozpoczynał nową pieśń. Taniec trwał niekiedy bez przerwy cztery doby, tj. korowód nie ustawał, choć osoby, biorące w nim u-

dział, naturalnie zmieniały się. Istnieją specyalni kierownicy, których całe zadanie polega na hypnotyzowaniu osób, życzących sobie wejść w obcowanie ze zmarłymi przyjaciołmi. Jeżeli ktoś z tańczących dostaje lekkiego dreszczu, przewodnik natychmiast pospiesza ku niemu, staje naprzeciw, wpatruje się w jego oczy i porusza szybko przed nim piórami lub chusteczką, zwolna towarzysząc obrotowi koła, ale nie opuszczając hypnotyzowanego. Jednocześnie wydaje on pewne głosy, naśladujące oddech zmęczonej osoby. Zwykle, zanim obrót korowodu ukończy się, hypnotyzowany staje się zupełnie bezwładnym, trzymający go puszczają i znowu zamykają koło. Kapłan odbywa w dalszym ciągu praktyki nad jednostką, w ten sposób wyłączoną, póki wreszcie członki jej nie zesztywnieją najzupełniej. Zahypnotyzowany zwykle przez pewien czas stoi w pośrodku koła, jako słup nieruchomy, aż wreszcie pada na ziemię, gdzie leży niekiedy całemi godzinami, przez nikogo nie wyprowadzony z takiego stanu. Wszyscy mniemają, iż obcuje on ze zmarłymi i naturalnie nikt nie chce mu przerywać tych chwil błogich. Gdy po upływie pewnego czasu ocknie się, opuszcza koło. Kapłan tymczasem hypnotyzuje innych. „Niekiedy z temi praktykami łączy się pewna doza oszustwa. Niektórzy niewątpliwie udają, iż znajdują się w stanie hypnotycznym, ażeby zwrócić na siebie uwagę towarzyszy lub po prostu naśladują osłupienie, spodziewając się, iż to ich doprowadzi do istotnego zesztywnienia. Większość jednak osób wpada rzeczywiście w uśpienie i traci wszelką świadomość i inicyatywę. Niekiedy zahypnotyzowany obraca się wkoło jak derwisz lub przybiera najniedogodniejszą postawę, której niepodobna długo zachować podczas świadomości. Nieraz bardzo znaczna liczba osób znajduje się po za kołem w różnych stadyach zahypnotyzowania. Kobiety dostarczają zastępu trzy razy liczniejszego."

Prócz pracy J. Mooney'a, nie możemy wskazać w literaturze żadnej innej, któraby tak szczegółowo i sumiennie zbadała psychologię poruszenia mesyanistycznego — używamy tego terminu z dziejów naszych własnych, bo najlepiej on streszcza istotę epidemii umysłowej, badanej przez etnografa amerykańskiego. Taniec duchów ogarnął około 60 tysięcy Indyan, rozproszonych na bardzo znacznej przestrzeni. Prorocy działają na podłożu pewnego doświadczenia ogólno-społecznego: przygnębienia właściwego ludom zanikającym w nierównej walce. Głoszą oni lepszą przyszłość, którą można sprowadzić przez poprawę obyczajów i ćwiczenia mistyczne. Ćwiczenia te przybierają charakter obcowań z duchami przyjaciół i krewnych, bo w zmartwieniu, wywołanem przez śmierć blizkich osób, apostołowie nowej prawdy znajdują grunt najpodatniejszy dla ściągnięcia wyznawców. Widzenia następują podczas zborów, na których tańce i śpiewy obok nadziei ujrzenia kogoś wprawiają wiernych w stan szczególnej wrażliwości, sprzyjającej rozpoczęciu praktyk hypnotycznych. Kierownicy korowodów, których nieodpowiednio nazwaliśmy kapłanami, odgrywają rolę magnetyzerów. Ruch cały wykazuje, jaką olbrzymią rolę stany hypnotyczne odgrywają w każdym mistycyzmie, i jednocześnie świadczy, że empirya pierwotna oddawna umiała użytkować z pewnych usposobień ducha i wywoływać je, które w nauce europejskiej zyskały prawo obywatelstwa dopiero przed laty kilkunastu.

L. K.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Ursyn: *Szesnaście obrazków.* — Anatol Krzyżanowski: *W więzach.* Zbiór nowel.

Paradoksem wydać się może zdanie, że nowela jest najłatwiejszym i najtrudniejszym zarazem rodzajem literackim, lecz w tym paradoksie tkwi niewątpliwie duża doza prawdy. U nas zwłaszcza, gdzie z powodu wyjątkowych warunków do rzeczypospolitej literackiej cisną się nieraz ludzie, którym dobre chęci służą za jedyny list żelazny w jej granicach, do niedawna zachował pewien kredyt pogląd, że dla stworzenia noweli potrzeba tylko, oprócz dostatecznej ilości papieru, atramentu i pióra, dobrej a nieprzymuszonej woli po temu, no i kilku godzin wolnego czasu. Stąd zapewne wynikło, że mieliśmy i mamy dotąd tylu, a zwłaszcza tyle piszących wszelkiego rodzaju obrazki, nowele i szkice, nowelistów zaś prawdziwych, których utwory mają prawo pozostać w literaturze, nie zachwaszczając jej tylko, lecz stanowiąc raczej kwiaty jej najwonniejsze, moglibyśmy podobno wyliczyć na palcach. Zarówno wrażliwość na pewne, nadające się do nowelistycznego traktowania, objawy życia, jak i umiejętność wyboru tematu i zastosowania ram obrazu do jego rozmiarów i treści — nie przychodzą na zawołanie i nie zależą, niestety, od najlepszych chęci pisarza.

Czy p. Ursyn, dorzucający świeżo swoje „szesnaście obrazków" do galeryi ogłoszonych przedtem, jest takim nowelistą urodzonym? Według nas — nie. W nowej książce jego dwa tylko krótkie utwory („Tarlatanowa suknia" i „Po chrześciańsku") przemawiają do czytelnika oryginalniejszym pomysłem i pewnym artyzmem wykonania, w innych uderza tu i owdzie trafne spostrzeżenie, czasem jakiś akcent liryczny wywoła na chwilę współczucie, wogóle jednak, zamykając książkę, nie wynosimy z niej ani żywszego zadowolenia estetycznego, ani pożywnego pokarmu dla umysłu i serca. Mózg autora, jak szerokie zwierciadło, odbija jednocześnie różnorodne objawy życia, ale brak mu pewnego umysłu krytycznego, niezbędnego do odrzucenia rzeczy błahych, czy też poprostu brak zdolności i siły do wzniesienia się szerokim wzlotem w podniebne wyżyny artyzmu.

W obrazkach swoich odtwarza p. U. najchętniej życie aktorów prowincyonalnych, drobnych rzemieślników i mieszczan, niekiedy zresztą prowadzi nas z sobą do wytwornego gabinetu restauracyjnego, do bawialni zamożnego adwokata lub — dla kontrastu — na śmietnik staromiejski. Przyznać należy, że opisywane sfery zna dobrze, szczegóły zwykle podpatruje trafnie, niemniej jednak rzadko sięga do głębi rzeczy i nie umiejąc dostrzedz istotnego tragizmu, o który w życiu tak łatwo, zadawala się zwykle jego surogatem, jakimś nieumotywowanym zgoła efektem melodramatycznym, przyczepionym na zakończenie obrazka i sprawiającym czytelnikowi najczęściej niemiłą niespodziankę.

Wrażenie takiej niespodzianki, niezwiązanej niczem z całą treścią obrazka, stanowi np. śmierć podczas przedstawienia teatralnego młodej i sympatycznej aktorki, Stalińskiej, w jednem z dłuższych i może nawet lepszych opowiadań („Nieskończone widowisko"). Śmierć wogóle, jako pozornie najbardziej wzruszający objaw, jest czynnikiem, używanym przez autora chętnie. Na szesnaście obrazków jego zbiorku kończy ona trzy, a w ośmiu aż mamy z nią do czynienia jako z motywem głównym. Lecz śmierć w nowelach p. Ursyna nie zachowała nic prawie ze swej wstrząsającej grozy; czytelnik widzi w niej bowiem nie fatalność, nie wynik walki, wyczerpującej siły żywotne i łamiącej wytrwałego bojownika w pół drogi do celów nieosiągniętych, lecz zwykły kaprys nowelisty, któremu w ten sposób najłatwiej jest wybrnąć z kłopotliwego położenia.

Jeżeli na korzyść pojedynczych scen w nowelach p. Ursyna przemawia pewna żywość, z jaką zwykle snuje się opowiadanie, to wogóle pomysłów jego niepodobna nazwać szczęśliwymi. Takie np. spotkanie na maskaradzie, wyznaczone przez żonę zobojętniałemu na jej wdzięki mężowi, w celu odzyskania w przebraniu jego miłości i oddziałania na jego przytępione zmysły w podniecającej atmosferze restauracyjnego gabinetu („Pąsowa róża"), należy do najbardziej oklepanych i wytartych, a najmniej prawdopodobnych sytuacyj, z którą, niestety, nie przestajemy spotykać się dotąd u utalentowanych nawet skądinąd pisarzy. Darując przytem autor, ale nie możemy wyobrazić sobie jego „prostej, skromnej, pełnej dziecięcej niemal naiwności" pani Amelii, brzydzącej się wrzekomo wszystkimi arkanami wyrafinowanej kokieteryi, jaką kobiety najskuteczniej, według p. Ursyna, zdobywają sobie serca i głowy zepsutych „panów stworzenia," w scenie, opisanej o kilka kartek dalej, gdzie ta sama pani Amelia, uosobienie naiwności i skromności, zrywa się z kanapki w gabinecie restauracyjnym, uśmiecha się rozkosznie, chwyta kieliszek i podnosząc go nad główką, zaczyna nucić jakąś piosenkę szaloną i wreszcie z okrzykiem: „za twoje zdrowie!" — wychyla wino do dna. Ciekawa rzecz, gdzie ona się tego wszystkiego nauczyć mogła.

Mniej jeszcze prawdopodobną wydaje nam się treść „Aktorzycy," a zwłaszcza zakończenie, gdzie stara aktorka truje się na widok niepowodzenia, które spotkało jej dawnego kolegę i przyjaciela podczas gościnnego występu na scenie małomiasteczkowej. W obrazku tym sylwetki pary starych aktorów, oddawna „wycofanych z obiegu," zarysowują się zrazu dosyć plastycznie, szkoda że zamiłowanie autora do efektów melodramatycznych i nienaturalnych zakończeń psuje całość.

Niektóre obrazki p. Ursyna, jak: „Szymon," „Inocenty," „Bawiciele ludu," „Pukle włosów," a zwłaszcza „Do Warszawy!"—wywierają wrażenie luźnych notatek, spostrzeżeń, zapisanych naprędce i zgruba tylko opracowanych, a nieskończonych utworów sztuki. Gdzieindziej („Na Powiślu") jakiś jeden szczegół fałszywy i rażący psuje nieźle pomyślaną i wykończoną całość, osłabiając wywierano przez nią wrażenie. A jednak we wspomnianych już dwóch obrazkach („Tarlatanowa suknia" i „Po chrześciańsku") dowiódł sam autor najlepiej, że nawet w kilkustronicowym szkicu można się pokusić o świeżość i oryginalność spostrzeżeń. I stara Żydówka Ruchla, sprzedająca, po walce wewnętrznej, bez żadnego zarobku, świeżo nabytą tarlatanową suknię zrozpaczonemu wdowcowi, mającemu pochować w niej młodą, ukochaną żonę, i ta mizerna wiejska kobiecina, decydująca się ponieść ciężką karę za niepopełnione zabójstwo samobójcy-męża, byle tylko Wojciech jej został pochowany „po chrześciańsku," są to dwie zupełnie dobre sylwetki, stające w obronie nowelistycznych zdolności autora.

Język obrazków p. Ursyna jest wogóle czysty, nie odznacza się jednak szczególną

poprawnością. W każdym razie szlafrokowe iście zwroty w rodzaju: „przez te pięć lat, *com go nie widział* (str. 44), należą w tym zbiorku do wyjątkowych.

Więcej opracowania, więcej nieco pogłębienia psychologicznego, lecz więcej zarazem przesadnego patosu i prawdziwie kobiecej wielomówności w dyalogach — znajdujemy w zbiorze nowel p. Anatola Krzyżanowskiego, objętych wspólnym tytułem „W więzach.“ Od wad powyższych wolne są tylko poniekąd „Bezładne kartki“ (urywek z pamiętnika młodej panny), najlepszy w tym zbiorze i chronologicznie najpóźniejszy utwór. Autor powtarza w nim uwagi i rozmyślania młodej i bogatej panny „z dobrego domu,“ która, z obawy przed „Dantejską wędrówką“ po balach i zabawach w ciągu szóstego z rzędu karnawału swojego, decyduje się, zgodnie z życzeniem matki, zwyczajnej, jak się zdaje, kwoki salonowej, wyjść za mąż za niekochanego mężczyznę, byle tylko raz skończyć ze wstrętną rolą panny na wydaniu, byle przestać nareszcie być wiecznym towarem, wystawionym na targowisku małżeńskiem.

„O młodości — woła w jednem miejscu bohaterka „Bezładnych kartek“ — ty dobro prawdy, szczerości i zapału, ty mój piękny śnie na kwiatach, ty śnie mój złoty, czemuż mi cię ludzie zatruli rolą panny na wydaniu!.. Czemu, krępując swobodny wzlot pod błękity, zakuto mnie w pancerz konwenansu i kazano na woskowanych parkietach szukać o północy promienia słonecznego. Bo promieniem słonecznym musi być uczucie, które ma życie rozjaśnić i ogrzać, którego ciepło wobec śmierci nawet zachowuje swą potęgę. Słońcem, całem istnieniem kobiety, a oni, zamiast tego słońca, dawali mi za jedyny drogowskaz blask woskowej świeczki.“

Te i tym podobne skargi młodej panny są zapewne prawdziwe i szczere, charakter bohaterki noweli może mieć w świecie tańczących panien odpowiedników niemało, niemniej jednak los jej nie wzruszy już dziś silniej czytelnika. W epoce, gdy tysiące kobiet walczą zwycięzko ze stokroć większemi trudnościami i w swem żywiołowem dążeniu do promiennych ideałów wiedzy i światła, do bytu niezależnego, pokonywają piętrzące się na każdym kroku przeszkody, z polnem politowania wzruszeniem ramion przejść można do porządku dziennego nad bezsilnemi wyrzekaniami młodej i inteligentnej kobiety, niemogącej się zdobyć na tyle chociaż energii, ile jej trzeba do wyrwania się z zaczarowanego wiru bezmyślnych wielkoświatowych rozrywek i zapełnienia sobie życia w odpowiedniejszy sposób. Kult owczej bierności przyszłych anielic domowego ogniska, niezdolnych do zejścia ani na jedną chwilę z udeptanej przez prababki ścieżyny, coraz mniej dziś liczy zwolenników, więc męczennice w rodzaju narzeczonej poważnego pana Tomasza na współczucie w szerszych kołach liczyć już dzisiaj nie mogą.

Z innych nowel zbiorku zasługuje na wyróżnienie kartka z życia kobiety p. t.: „Na rozdrożu.“ Wziąwszy za dewizę zdanie prof. Chmielowskiego, że zadaniem noweli jest odmalowanie charakteru w pewnej kolizyi dramatycznej, autor przedstawia straszne położenie kobiety, opuszczonej z chorem dzieckiem przez męża, zagrożonego więzieniem za lekkomyślne, chociaż wywołane pobudką szlachetną, roztrwonienie cudzych pieniędzy, i bezskuteczne jej próby ratunku, rozbite o nizkie, zwierzęce instynkty hrabiego-prezesa jakiejś instytucyi. Gdyby nie przesadna frazeologia w niektórych scenach, nowelę tę zaliczyćby można do lepszych utworów p. Anatola Krzyżanowskiego.

W pozostałych utworach jego nowej książki, obok zaznaczonego już zamiłowania do wielomówności i nienaturalnego patosu, razi bądź karykaturalne przedstawienie męzkich zwłaszcza postaci („Apostoł idei,“ „Honor męzki,“ „W opałach“), bądź niedostateczna znajomość opisywanych stosunków i wynikająca stąd powierzchowność. W noweli tytułowej np., niezależnie od psychologii głównych postaci, pozostawiającej wiele do życzenia, uderza słaba znajomość pewnych przepisów prawnych i stosunków sądowych; w „Ocalonym,“ obok rozwlekłości, razi niedostateczna znajomość zasad psychiatryi, oraz pewna niedbałość wykonania, której zapewne przypisać należy, że ta sama osoba (pan Zygmunt Zapolski) jest raz czterdziestoletnim maniykiem, to znowu (str. 83) „młodym człowiekiem.“ W „Ociemniałym“ wreszcie miłość macierzyńska pani Jadwigi Łąckiej nosi na sobie wyraźną cechę histeryi, na którą zresztą w mniejszym lub większym stopniu cierpi i kilka innych bohaterek p. Anatola Krzyżanowskiego.

Wł. Bukowiński.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

TEATR AMATORSKI.

A. Willbrandt: ***Młodzieńcza miłość***, jednoaktówka. — J. K. Galasiewicz: ***Aby handel szedł***, obrazek ludowy w jednym akcie ze śpiewami i tańcami. (Staraniem Zarządu wzajemnej pomocy pracowników handlowych na korzyść wdów i sierot po stowarzyszonych).

Istnieje zdawkowo twierdzenie, że się amatorów nie krytykuje, płytkie, jak wszelka zdawkowość. Mniemamy, że dyletantyzm w sztuce może być czemś więcej, niż szlachetną rozrywką; może on do pewnego stopnia uzupełniać działalność sztuki zawodowej. Teatry wszystkich miast naszych, łącznie z galicyjskiemi, nie spełniają lub nie mogą spełniać swego zadania względem literatury dramatycznej. Między teatrem a literaturą wykopano jakieś nieprzebyte rowy. Drogi ich stoją do siebie w stosunku linij wichrowatych. Wytworzyło się nawet zdanie, że scena nie może iść ręka w rękę z literaturą. Nie będziemy się silili na zbijanie podobnych banialuk, wydętych do rozmiarów jakiegoś „zdania.“ Wchodzimy w położenie reżyserów i przedsiębiorców teatralnych, którzy muszą liczyć się zarówno z kasą, jak i z psychologią tłumu, zwanego zawsze zaszczytnie publicznością, nawet na rynkach małomiasteczkowych wobec popisu linoskoczków. Zdaje nam się jednak, że w większości wypadków dyrektorowie teatrów nie najlepiej na swych rachubach wychodzą. Ot, dostarcza nam przykładu Sosnowiec. Trupa p. Janowskiego dawała z początku sztuki poważniejsze, a frekwencya publiczności przedstawiała się wcale nieźle. Celem zwiększenia frekwencyi obniżać poczęto poziom artystyczny; wreszcie zapanowała niemal wyłącznie operetka. Tymczasem wbrew wszelkim rachubom frekwencya publiczności poczęła się stale zmniejszać i doszło do tego, że p. Janowski zwrócił się do obywateli sosnowieckich o subwencyę. Ponieważ niepodobna ani drogą perswazyi, ani krytyki wpłynąć na zmianę kierunku teatrów zawodowych, przeto zdaje nam się, iż prawdziwi miłośnicy sztuki dramatycznej mogliby z wielką korzyścią przeciwdziałać takiemu stanowi rzeczy za pomocą przedstawień amatorskich. Artysta dramatyczny poświęca przeważnie literaturę dla sztuki aktorskiej; kierują nim względy karyery. Amatora nie mogą krępować względy tej kategoryi. Więcej miłości dla sztuki, a mniej miłości własnej sprawiłoby, że w rezultacie kiedyś nawet jego miłość własna doczekałaby się uczciwszej nagrody, niż krótko brzmiące oklaski za nieźle odtańczonego krakowiaczka lub udatne naśladowanie gry jakiegoś aktora z Teatru Małego. W piśmiennictwie naszem istnieje cały legion dzieł dramatycznych niepośledniej wartości, o których wystawieniu nikt nigdy nie pomyślał. Dyletanci muzyczni nie grają przecież samych Offenbachów; czemużby dyletanci dramatyczni mieli grywać jedynie jakieś płaskie koncepty autorów, którzy stoją pod poziomem współczesnej kultury estetycznej?!

Reżyser teatru amatorskiego pracowników handlowych wykazał, iż warto z nim o tych kwestyach mówić. Wystawiając „Młodzieńczą miłość“ popularnego dziś w Niemczech autora, dał do poznania, iż chodzi mu o literaturę. Wybór jednak nie był całkiem trafny. Jest to bowiem utwór tak nawskroś niemiecki, że jedynie Niemcom podobać się może. To też i amatorzy, z wyjątkiem p. Stanisławskiego, występującego w roli studenta, nie czuli się na swoim gruncie. Niemki mdlałyby z zachwytu na widok wzdychającej przy księżycu pensyonarki; Polki nasze brał za serce student-urwis. Zabójczem dla sztuki było tłomaczenie, z którego przypominamy sobie następujące kwiatki: „nasze szesnaście lat,“ „czytać w książce,“ „nie obrażaj pan damę.“ O ileż żywiej szła swojska krotochwila Galasiewicza, choć autor wszelkich sił dołożył, aby temat zmarnować. Postaramy się to w kilku słowach udowodnić. Do karczmy, stojącej na pustkowiu, sprowadza się Żyd-arendarz i łamie sobie głowę nad tem, jakby ogół do tej karczmy przywabić. Dowiaduje się, że w pobliżu mieszka owczarz, uzdrawiacz zwierząt. Mówi sobie tedy: czemuby owczarz ten nie miał spróbować uzdrawiać ludzi? Jeśli stanie się sławnym, to ze wszystkich stron będą zjeżdżali do niego kuracyusze, a tem samem nawiedzali moją karczemkę. Ale jak tu uczynić owczarza sławnym? Udaje chorego, każe żonie chorować, wmawia chorobę w służebnicę. Owczarz zaczyna ich leczyć, jest przekonany, że dokonał cudownej kuracyi, wpada w istny szał uzdrawiania, karczma zapełnia się tłumem — i po tej ekspozycyi, gdy widz oczekuje właściwego rozpoczęcia akcyi, arendarz proponuje zebranym, aby najpierw odtańczyli krakowiaczka, potem mazura — a potem — potem autor zapuszcza kurtynę. Lecz w odegraniu tej sztuczki dowiedli wszyscy bez wyjątku amatorzy, że o występie ich można mówić, jak o występie urodzonych aktorów. Każdy z nich stworzył typ żywy, wyrazisty, barwny. I to właśnie skłoniło nas do wygłoszenia mniemania, że z zbiorowiska amatorskie, a w tym wypadku dyletanci pod egidą p. Kotowskiego, mogliby pracować nietylko dla wdów i sierot, za co zebrali aż za dużo oklasków, owych niesfornych, przeszkadzających w grze oklasków, lecz także dla sztuki w znaczeniu literatury dramatycznej, za co może na razie mniejby oklasków zbierali, lecz kto wie, czy kiedyś nazwiska ich nie błysnęłyby na kartach historyi dramaturgii naszej. Gorąco życzymy p. Kotowskiemu, aby nie poprzestając na tem, co dotąd zrobił, starał się działalność swą nie rozszerzyć, lecz pogłębić, starał się zapoznać z naszą literaturą dramatyczną, wniknąć w jej ducha, wyrobić w sobie jakieś ideały literackie i żyć wraz z swą drużyną nie chęcią popisu na cel dobroczynny, lecz chęcią odbudowania na scenie tych światów, które powstały w natchnionych duszach poetów-dramaturgów.

Andrzej Niemojewski.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Towarzystwo muzyczne.

Ktoby chciał wnioski jakieś wyciągnąć z ostatnich wieczorów Towarzystwa muzycznego, musiałby najpierw przyjść do przekonania, że w świecie wykonawców kobiety stanowczo wzięły górę nad rodem męzkim. Mieliśmy bowiem w rzędu aż trzy fortepianistki, panie: Narbutt-Hryszkiewiczową, W. Klementz i Sandrę Droucker, oraz dwie śpiewaczki panie: von Niessen i Gordigiani. Drugim zaś wnioskiem byłoby przeświadczenie, że śpiew odpowiedniejszą jest dla kobiet dziedziną, że w wykonywaniu pieśni dosięgają one wyższych szczytów artyzmu, niż na polu wirtuozostwa fortepianowego.

Wszystkie trzy wymienione fortepianistki są niezaprzeczenie artystkami miary niepośledniej, technikę, pewność ręki, czystość tonu, sumienność w opracowaniu szczegółów posiadają w wysokim stopniu, choć u każdej zalety te mają cechę odmienną, z indywidualności wynikającą. Duszy w wykonywane utwory żadna z nich wszakże wlać nie umiała. Pani Hryszkiewiczowej brak polotu do wydobycia całej mistycznej poezyi utworów Griega (koncert *a moll*), ton jej za suchy, aby mogła słuchacza rozmarzyć melancholią, snującej się w Preludyum Mendelssohna melodyi. Trudno również silniejszych doznawać wrażeń, słuchając gry p. Klementz: wykona wszystko poprawnie, stylowo, niekiedy nawet zajmująco, ale ani wzruszy słuchacza, ani wstrząśnie jego nerwami, wrażenia jej grą wywołane nie towarzyszą, chyba nikomu po za próg sali koncertowej.

P. Droucker celuje większą od obu poprzednich wirtuozek sprawnością ręki, technika jej jest, że tak powiemy, bardziej męzką, siła większa, ton mocniejszy; przytem grę jej cechuje drobiazgowe wykończenie szczegółów, sumienne, niewolnicze nawet trzymanie się tempa i rytmów, co tamuje wszelką w wykonywaniu fantazyę, niezbędną np. w utworach Schumanna, pozbawia grę piętna osobistego, sprawia, że wspaniały „Król Olch" Schuberta (w opracowaniu Liszta) robi wrażenie etiudy, wreszcie na całym popisie wyciska piętno—nudy, a wszak „wszystkie rodzaje są dobre, prócz nudnego."

Inna rzecz z „pieśniarkami," które brały udział w tych samych koncertach. Zarówno jednej, znanej nam z występu zeszłorocznego (p. v. Niessen), jak i drugiej, pierwszy raz popisującej się u nas (Gordigiani), zawdzięczamy wrażenia, wywołane najszlachetniejszym artyzmem; każda z nich duszę całą właśnie w śpiew swój kładzie, rozporządzając przytem wszystkiemi środkami techniki wokalnej. Do temperamentu i ducha p. v. Niessen lepiej nadają się pieśni o nastroju dramatycznym, stąd też, gdy wykonanie „Rozmowy leśnej" Schumanna nazwać można mistrzowskiem, „Fiołkowi" Mozarta zabrakło wdzięku i prostoty, a „Pastorale" Bizeta figlarnej zalotności. Znakomite efekty swoje p. v. Niessen wywołuje więcej dykcyą i frazowaniem, niż dźwiękiem głosu.

Panna Gordigiani została z rzadką hojnością przez naturę uposażona: przedewszystkiem głos przepyszny, mezzo-sopran, sięgający nizkich tonów altowych, o brzmieniu pełnem, ciepłem, podatny do wyrażania wielkich uczuć; usposobienie nawskroś artystyczne, zdolne wniknąć w ducha każdego utworu, inteligencya niepospolita, a to wszysko razem wykształcone w szkole francuskiej, po nad którą niema dzisiaj lepszej dla śpiewu. Nic więc dziwnego, że wobec takich warunków każdy kompozytor ma w pannie Gordigiani mistrzowską tłomaczkę, że, zapoznawszy się tutaj dopiero z Moniuszką — bo nasze „gwiazdy" nie starają się bynajmniej o to, aby muzykę swojską krzewić na obczyźnie — nauczyła się dwóch jego pieśni („Kozak" i „Dwie zorze") i znakomitem wykonaniem dała dowód, jak dalece ducha muzyki, którą pierwszy raz zasłyszała, odczuła.

Pomimo ożywionego zazwyczaj u nas sezonu operowo-koncertowego, nie uważamy bynajmniej Warszawy za miasto bardzo muzykalne, w poważniejszem tego słowa znaczeniu. Dzisiaj jednak chcielibyśmy ją obronić od zarzutu niemuzykalności, stawianego jej z powodu niepoznania się na „kwartecie humorystycznym" Udla. Zdarzyło się Towarzystwu muzycznemu, że, chcąc rozweselić stałych bywalców swoich, urządziło „wieczór karnawałowy" i sprowadziło rozgłośny w Niemczech wiedeński kwartet profesora Udla. Publiczność nasza nie „odczuła" tego artyzmu, nie mogła się śmiać z tych dowcipów, i tem właśnie, naszem zdaniem, złożyła dowód swojej dojrzałości muzykalnej. Podobnie jak jest cała przepaść między operą *bouffe* a operetką, choć i tu i tam wybuchamy częstym śmiechem, tak też jest różnica między humorem a błaznowaniem, między dowcipem a płaskim konceptem. Wszystkie „kawały" tych panów, dobre do rozweselenia gości na nudnym raucie, na estradzie robią wrażenie wprost przykre, i litość ogarnia, gdy się patrzy na tych błaznujących siwych i łysych ludzi. „Ale jacy oni zespiewani!" — mówią ci, co niemuzykalność z ich powodu zarzucają Warszawie! Cóż w tem dziwnego? Ołysieli, posiwieli, stracili głosy, popisując się razem tymi konceptami i jeszcze nie mieliby być zespiewani?

Br. N.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POWIEŚĆ. E. Orzeszkowa: „Iskry," nowele: Daleko — Liść uschły — Karyery — Czy pamiętasz — Siteczko — Ani kawałeczka — Śmierć domu — Babunia — Panna Róża — Krzak bzu (279 str.). Gebethner i Wolff.

— T. T. Jeż: „Którędy do szczęścia" (267 str.). Gebethner i Wolff.

— J. Weyssenhof: „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" (378 str.). Gebethner i Wolff.

— Prosper Merimée: „Mozajka," zbiór nowel (90 str.), tłom. W. Bugiel (*Bibl. Mrów.*).

ENCYKLOPEDYA rolnicza z. 72.

— wiadomości pożytecznych z. 26.

MAPA Królestwa Polskiego M. Gotza. Gebethner i Wolff.

O PRAWDĘ.

Życie studenckie i ideały *).

I.

Z powodu warunków miejscowych młodzież polska, przyjeżdżająca na studya do Rygi, znalazłszy się wśród obcych sobie żywiołów (Niemcy i Łotysze), zaczęła wstępować do istniejących stowarzyszeń niemieckich. Z czasem, gdy liczba studentów Polaków wzrosła, gdy okazało się, że własnych sił starczy do zawiązania rodzinnego ogniska, gdy ucisk korporacyi niemieckiej stał się zbyt uciążliwym, z hasłem: „Prawdą a pracą" powstało pierwsze samoistne stowarzyszenie polskie, „Arkonia," oparte na średniowiecznych zasadach komanów niemieckich. Wpływ tych ostatnich przebijać się musi na każdym kroku, a nawet dziś, choć od tego czasu przeszły lata (18), jest on widocznym nietylko w ustroju, lecz i w niektórych zwyczajach życia stowarzyszeń polskich (np. niemiecka komenda przy fechtunku, przebijanie czapek na komersach itp.). Ten stan rzeczy niedługo jednak zadawalał członków Arkonii. Niezadowolenie wzrastało. Ponieważ krytyka statutów i życia korporacyjnego jest surowo wzbronioną, protest przyjął ostrzejszy charakter, co wyraziło się w wystąpieniu. Owocem jego był związek młodzieży polskiej pod nazwą „Przyroda" (trwał około roku), z którego następnie utworzyła się do dziś istniejąca korporacya „Welecya." Napisano statuty, opatrzone prześlicznym, zawierającym wiele szczytnych myśli wstępem, wybrano godła (*Viribus unitis* i *Suum cuique*), barwy i pełne świeżych sił stowarzyszenie wystąpiło na arenę działalności. Rzeczywistość nie odpowiedziała jednak zamiarom, bo oto po roku zaledwie istnienia „Welecyi" występuje z niej jeden z założycieli, autor owych wzniosłych haseł, rozgoryczony, że myśl w czyn się nie oblekła. Odtąd spotykamy wystąpienia częste i gromadne.

Jakie były przyczyny tego zjawiska?

W korporacyi każdy członek obowiązkowo musi płacić składkę miesięczną w ilości 50 kop. do t. zw. kasy stypendyalnej, co wynosi w I-ym semestrze (4 miesiące) 2 rs., w II — 2 rs. 50 k. Przypuszczając, że członków każdego stowarzyszenia jest 120 (zwykle trochę mniej), otrzymamy 540 rs. rocznie. Do tej sumy należy włączyć dochód z zabawy, urządzanej na stypendya raz do roku, który wynosi średnio kilkaset rubli, przypuśćmy 760 (przeciętnie mniej). Otrzymamy tedy 1,300 rs. — kapitał znaczny, a jednak tylko niewielu (9,7%) korzystać zeń może, ponieważ wpis wynosi 160—200 rs. rocznie. Pomoc materyalna wyraża się również w postaci bezpłatnych obiadów, na które jest wyznaczoną stała suma w budżecie, 180 rs. semestralnie, czyli że 4,18% otrzymać może tę pomoc (obiad po 9 rs. — 180 : 9=20 obiadów, w I semestrze 20 : 4=5, w II— 20 : 5=4 obiady miesięcznie). Dużą dogodność stanowi istnienie kasy pożyczkowej, skąd w każdym czasie za podpisem kawentów można dostać terminową pożyczkę. O ileż pomoc ta mogłaby być skuteczniejszą, gdyby nie zbyt wielkie wydatki, jakimi obarczone są korporacye na utrzymanie tylko swej firmy i t. zw. stosunków zewnętrznych. Nie będzie pozbawionem pewnej wartości przedstawienie dwóch budżetów jednej z korporacyj za dwa różne semestry lat ostatnich:

	I	II
Mieszkanie	450 rs	450 rs.
Biblioteka	200	
Obiady bezpłatne	180	180
Diversa	120	100
„Muzykalia"	40	30
Usługa	110	110
Światło	100	100
Opał	37,50	37,50
Kasa zapasowa	78,42	
Fechtunek	25	50
Przyjęcie gości	125	250
Przyjęcie C. C.	100	
Przyjęcie E. G.	50	
Kasa Mianowskiego	30	10
Tow. Zach. Szt. P.	10	10
Kwartet (głosowy)	20	20
Deficyt	116,54	111
Spłata mebli		100
Rata komersowa		100
Suma	1792,46	1658,50

+ biblioteka (przypuszczalnie 150—200 rs.) = 1808,50—1858,50.

Budżet taki, gdy jest już za bardzo wygórowany, bywa czasem obcięty w pozycyi na bibliotekę (100 rs.), Kasę Mianowskiego, fechtunek (25 rs.), T. Z. S. P., ratę komersową, lecz *nigdy* na przyjęcie gości *). Jeżeli więc przyjmiemy budżet semestralny *tylko* 1,400 rs. i składkę na stypendya od 120 członków, czyli przeciętnie

*) W sprawie polskich stowarzyszeń studenckich Politechniki rygskiej zamieściliśmy dwa artykuły, z których jeden poddawał je ostrej krytyce, drugi zaś usprawiedliwiał z zarzutów. Artykuły te wywołały ogromny napływ do redakcyi naszej listów z obronami i oskarżeniami. Z tej korespondencyi wybieramy jeden referat, opracowany przez grono t. zw. „Wilderów," którym dajemy głos na ich odpowiedzialność, a z tem naszem życzeniem, ażeby młodzież, której dobro zawsze w sercu nosimy, zmieniła statuty swych stowarzyszeń, o ile one są rzeczywiście przestarzałe, bezcelowe lub potrzebom czasu nieodpowiadające. *Red.*

*) Patrz protokóły zebrań ogólnych k. W.

270 rs., to stosunek ogólnego rozchodu do pieniężnej pomocy dla niezamożnych kolegów wyrazi się w normie 16,7% do sumy, przeznaczonej na obiady 11%. W zestawieniu oddzielnych pozycyj uderza następnie stosunek biblioteki do sumy ogólnego budżetu 12,5%, przyjęcia gości 18%. Procent stypendystów zmniejszy się znacznie (do 5,3%), jeżeli pozycyę bezpłatnych obiadów, obecnie wykreśloną z budżetu, włączyć do kasy stypendyalnej.

Rozpatrzmy teraz, jakim sposobem ten niezwykły na studenckie kieszenie budżet bywa wypełniany. Od płacenia składek zwolnieni są tylko ci, co mają mniej, niż 20 rs. miesięcznie; pozostali płacą procent od swoich dochodów, przenoszących 20 rs. miesięcznie, który waha się między 20—30%, czasami bywa nawet większy. Jeżeli weźmiemy przeciętne dane: pensya miesięczna z domu 30 rs. i 25%, to otrzymamy 2 rs. 50 k. składki miesięcznej, co wraz z t. zw. składką normalną (3 rs. semestralnie) uczyni 3 rs. miesięcznie. Nie na tem jednak koniec. Należy wziąć pod uwagę cały szereg takich wydatków, jak: wpisowe przy wstępowaniu do korporacyi (3 rs.), znaczek kandydacki (1 rs.), składka na „bandy" (1 rs. semestralnie), komersy, których bywa 2—4 rocznie, „knajpę kandydacką" i bardzo wiele innych drobnych na pozór, lecz obowiązkowych wydatków, stanowiących miesięcznie poważną rubrykę, a przekonamy się, że korporacye pod tym względem nie ustępują osławionemu fiskalizmowi austryackiemu, tem bardziej, że pobyt w Rydze nie należy do tanich. Budżet koniecznych osobistych wydatków przeciętnego studenta tak się przedstawia: mieszkanie 9 rs., obiady 9 rs., śniadania i kolacye 5 rs., pranie, papierosy itd 3 rs., razem 26 rs. Podatek korporacyjny, mało licząc, wynosi 5 rs., co stanowi 31 rs. Skąd wziąć na wydatki politechniczne (książki, kajety, papier, przybory rysunkowe, rajsbrety, linie, krzywiki, chemikalia, wydatki na stłuczone szkło w laboratoryach, przepalone tygle platynowe itd.), które *minimalnie* wynoszą 4 rs. miesięcznie, a gdzież rozrywki tak potrzebne przy żmudnej pracy (teatr, koncert itp.)? Dodać należy, że o zarobek dodatkowy (np. lekcye) w Rydze bardzo trudno. Wobec takich warunków co pocznie syn średnio zamożnych rodziców, otrzymujący 30 rs. miesięcznie? Zawiera on ugodę między żołądkiem i kieszenią, żywiąc się pół-obiadkami lub wasserzupkami, oszczędzając kosztem swego zdrowia. Przeważnie jednak student wpada w chroniczny deficyt, pociągający za sobą poważne następstwa. Skutkiem tego jest: 1) niewykonywanie zobowiązań względem tegoż samego stowarzyszenia, które w rzędzie swych haseł stawia wyrabianie obowiązkowości; 2) rozwijanie się czegoś w rodzaju egoizmu klasowego (w danym razie korporacyjnego) i pomijanie celów ogólniejszych. Lecz najboleśniejszą może stronę tego deficytu stanowi zaciąganie długów, które zmusza do krętactw, wnosząc w stosunki rodzinne dysonanse i nieszczerość. Tyle o pomocy *materyalnej*.

Co się tyczy *umysłowej*, należy przedewszystkiem wziąć pod uwagę biblioteki i czytelnie. Stowarzyszenia polskie posiadają ilościowo bogate biblioteki: w jednej znajdujemy 6,167 tomów, w drugiej 3,216. Przejrzawszy uważnie katalog tej ostatniej, dowiemy się, że na *3,216* tomów jest tylko *680* dzieł poważnych, wśród których wiele w kilku egzemplarzach, a łącznie z technicznemi liczba ta wzrosła do 800 tomów. Biblioteki te, w których tak bardzo przeważają powieści, niezupełnie więc odpowiadają temu charakterowi, jaki winny nosić księgozbiory do użytku kształcącej się młodzieży przeznaczone. Wyborowa beletrystyka nie powinna być wykluczoną, ale wykazy czytelników wskazują, że największym popytem cieszą się tylko dzieła treści lekkiej, szczególnie drażliwej. W bibliotekach młodzieży, która się kształci na przyszłych techników, dzieła techniczne zajmują nietylko ilościowo bardzo skromne miejsce. Ich brak zastępują notaty z wykładów, zostawiane lub kupowane, które cieszą się jedynie popytem, jako dające doraźną pomoc w przygotowaniu się do egzaminów. Brak czasu, jak to poniżej zobaczymy, oraz chęci powoduje, że w bogato uposażonych czytelniach korporacyjnych największem uznaniem cieszą się *Kolce*, *Mucha* itp. Skutki takiego pokarmu duchowego muszą się odbić na zebraniach naukowych ogólnych i pogadankach specyalnych. Zebrania naukowe—to jałowa forma musowego przepędzania czasu. Statut głosi, ogół patrzy, więc muszą się odbywać i to przynajmniej raz na miesiąc. Rażą one pustą treścią i zupełnym brakiem zainteresowania się. Odczyty, to nie wytwór chęci przedstawienia swej sumiennej pracy nad daną kwestyą, to przeważnie kompilacya, pańszczyzna, którą odrobić należy, ażeby uzyskać niejako bilet dostania się do „koła," lub glejt, za którym pobyt w „kole" będzie zabezpieczony. Prelegent schodzi z katedry z uczuciem ulgi, jak po spełnieniu najciększego i przykrego obowiązku. A krytyka, rozprawy? „Komisya naukowa" z obowiązku oraz kilka śmielszych jednostek zabierze głos, zbyt chwaląc lub rzucając gromy potępienia i... na tem koniec; reszta obojętnie przygląda się widowisku. Wogóle trudno bardzo wydostać od 120 członków jakiś referat. To też, choć urządzano konkursy z nagrodą pieniężną, spełzły one na niczem. Ciężkie więc obowiązki ma komisya naukowa, bo gdy próżnemi okażą się błagania o napisanie czegoś, zmuszoną jest sama to uskutecznić. O pogadankach specyalnych, które są na małą skalę zebraniami naukowemi, to samo da się powiedzieć. Wszystko to pokryte blichtrem, który przebija się nietylko w treści, ale też w szumnych nagłówkach odczytów. Co do ujawnienia się na zewnątrz działalności naukowej, jedno ze stowarzyszeń w ciągu 18-letniego swego istnienia wydało kosztem 5,000 rs. dzieło Małyszyckiego „O młynarstwie," w drugiem zaś od czasu do czasu dawały się słyszeć tylko pobożne westchnienia na intencyę wydawnictw.

(C. d. n.).

W DALI.

Wilno. Dnia 4 b. m. przedstawiali się p. naczelnikowi kraju urzędnicy wszystkich wydziałów. Do duchowieństwa obcych wyznań p. naczelnik kraju powiedział pomiędzy innemi: „Pamiętajcie, że mamy jednego Boga, do którego się modlimy, jednego Cesarza, któremu służymy, i jedną wspólną ojczyznę, dla której dobra wszyscy pracujemy. Czy zrozumieliście panowie znaczenie tego, com powiedział? Teraz mam do panów prośbę: Pomódlcie się za mnie do Boga, aby dał mi siły i rozum, iżbym mógł usprawiedliwić zaufanie naszego Cesarza, urzeczywistnić ze stałością Jego dobrotliwe wskazówki i z pożytkiem popracować dla dobra naszej wspólnej, drogiej ojczyzny." Do wszystkich przedstawiających się p. naczelnik kraju powiedział: „Wszystko, co zacne, dobre, szczere, prawdziwe, istotnie rosyjskie, znajdzie we mnie współczucie, poparcie, podporę, obronę i opiekę."—W miejscowym kantorze Banku państwa wykryto roztrwonienie 10,000 rs. — Powstanie wkrótce w Wilnie oddział Towarzystwa technicznego, dzięki staraniom inżenierów kolejowych. — Zatwierdzono budowę szkoły technicznej w Wilnie. — O oświetlenie miasta elektrycznością ubiega się kilku przedsiębiorców, a między nimi hr. Tyszkiewicz.

Petersburg. Najbliższą z kolei grupą gubernij, które otrzymają monopol wódczany, będą gubernie: Kurlandzka, Liflandzka, Estlandzka, Woroneska, Kurska, Stawropolska, Czarnomorska i Obwód wojska dońskiego. Ta monopol zacznie obowiązywać z dniem 1 lipca 1900 r. Gubernia Moskiewska należy do grupy ostatniej, która w porządku chronologicznym otrzyma monopol dopiero za 5—6 lat. W guberniach, w których monopol już wprowadzono, ministeryum skarbu urządza instytucye trzeźwości. Wyjednany na cel powyższy milion rubli będzie wydany w guberniach kraju północno-zachodniego i w Smoleńskiej. Gubernia Petersburska otrzymuje osobno 150,000 rs. na urządzenie zakładów, trzeźwość ludu mających na względzie; z sumy tej na Petersburg wypada $^2/_3$, tj. 100,000 rs. — Z powodu monografii francuskiej p. Waliszewskiego o cesarzu Piotrze W., *Swiet* wystąpił z całkiem nowym programem dla stosunków polsko rosyjskich: „Niechaj Polacy korzystają ze wszystkich praw reszty poddanych, niechaj mają swobodę wyznawania wszystkich dogmatów swojej religii, lecz niech ją wyznają jawnie w języku rosyjskim. Oświata ludowa powinna także mieć za podstawę język rosyjski. Niczego więcej od Polaków nie żądamy. Toż przecie mają oni w Poznańskiem szkołę początkową niemiecką." — Ks. Meszczerskij, zagrożony procesem z radą miejską z powodu artykułu w *Graždaninie*, wystosował do prezydenta list (przedrukowały go dzienniki), w którym usprawiedliwia się, iż „artykuł pochodził od przygodnego współpracownika," iż „sam on (ks. M.) nigdyby nie pozwolił na wydrukowanie takich wymysłów karczemnych," iż „nic o artykule nie wiedział" itd. Rada miejska, z uwagi, iż zarzuty dotyczyły starego jej składu, myśli procesowania ks. M. zaniechała; dzienniki tylko czynią uwagę, że „jednak byłoby lepiej, gdyby redaktor *Grażd.* wiedział, co się dzieje w jego piśmie.."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Ministeryum skarbu zamierza przeznaczyć 250,000 rs. na zaprowadzenie kuratoryów trzeźwości w Królestwie Polskiem.

— Zygmunt hr Wielopolski ustępuje ze stanowiska administratora księstwa łowickiego.

Szkoły Dyrektorem politechniki kijowskiej mianowany dyrektor charkowskiego instytutu technologicznego, p. Kirpiczew.

— Ministeryum wyjaśniło, że uczniowie szkół rządowych, opuszczający je przed ukończeniem sześciu klas, gdy chcą wstąpić do wojska na prawach ochotników drugiego rzędu, powinni dla otrzymania odpowiedniego świadectwa zdać egzamin dodatkowy ze znajomości historyi.

— Z Kłodawy piszą do *Gaz. Kal*: Nauczycieli szkół elementarnych zawiadomiono urzędownie, że dzieci w szkołach gminnych mają odmawiać modlitwy w języku polskim.

Zdrowie publiczne. Komisya przeciw dżumie podaje do wiadomości powszechnej, że powrót pielgrzymów muzułmańskich, poddanych zagranicznych do ojczyzny przez granice państwa rosyjskiego nie będzie dozwolony.

— W Charkowie powstaje oddział Towarzystwa walki z chorobami zakaźnemi po wsiach.

Sądy. W II-gim wydziale karnym sądu okręgowego warszawskiego toczyły się dwie sprawy Mikołaja Skorniakowa, b. komisarza sądowego przy zjeździe I-go okręgu gub. Warszawskiej, oskarżonego o nadużycia w urzędzie. Akt oskarżenia w 1 ej sprawie między innemi zarzuca, iż Skorniakow przy pełnieniu obowiązków pobierał dla siebie od włościan pieniądze, przyznane przez wyroki sądowe na rzecz wierzycieli, a dla zatarcia śladów przestępstwa zniszczył akta egzekucyjne w jednej ze spraw, w której były dowody, iż sprzedał drogą licytacyi publicznej osadę włościańską za rs. 490 i że pieniądze również sobie przywłaszczył. Akt oskarżenia w drugiej sprawie obciąża Skorniakowa zarzutem, iż namówił niejakiego Jabłońskiego do złożenia kilkuset rubli na przechowanie, w celu jakoby ułatwienia mu tym sposobem nabycia osady przez licytacyę publiczną za jak najmniejszą cenę i pieniądze te następnie sobie przywłaszczył. Sąd uznał winę Skorniakowa i skazał go na pozbawienie wszystkich szczególnych praw i przywilejów, oraz zesłanie na zamieszkanie w gub. Tobolskiej. Wyrok ten dotyczy szlachcica, będzie więc przedstawiony przez ministra sprawiedliwości do Najwyższego zatwierdzenia. (Według sprawozd. *Kuryera Warsz.*).

Konkurs. Komitet Towarzystwa muzycznego w Warszawie wraz z zaproszoną delegacyą, do której należeli pp.: Jan Karłowicz, Kazimierz Kaszewski i Adam Pług, rozstrzygnął konkurs na kantatę Mickiewiczowską. Nagrodzono utwór p. Józefa Łubieńskiego z Sosnowic, wyróżniono: kantatę „W górę myśl" osoby nieznanej i kantatę p. Nikodema Iwanowskiego z Tyszek (gub. Kowieńska).

Wystawy i zjazdy. Na tegoroczny zjazd przedstawicieli komunikacyj wodnych w Petersburgu przybyło wielu kapitanów parowców, którzy mają

poruszyć sprawę swego stosunku do przedsiębiorstw żeglugi.

— Na 13 b. m. zapowiedziano w Charkowie otwarcie wystawy przemysłu drobnego.

— Obywatele miasta Kielc i ziemianie okoliczni postanowili urządzić wystawę rolniczo-przemysłową.

— Towarzystwo rolnicze w Romnach urządza tam wystawę gospodarstwa wiejskiego.

Wypadki. Na przystanku Przysieka kolei Dąbrowskiej wykoleił się pociąg pocztowo osobowy Wypadków z ludźmi nie było, dzięki przytomności maszynisty. Podobno zwrotnicę źle nastawił jakiś złoczyńca, korzystając z lichego oświetlenia stacyi.

Zmarli. Leopold Löffler, artysta malarz, w Krakowie. Wielką popularnością cieszyły się jego obrazy historyczne, które w licznych reprodukcyach rozeszły się w kraju i za granicą. Do takich między innymi należą: „Śmierć Czarneckiego,“ „Powrót z Jassyru,“ „Powrót po napadzie Tatarów.“ „Z bitwy pod Wiedniem.“ Do najpopularniejszych zaliczyć trzeba „Powrót z niewoli“ (własność Tow. zach. szt. pięk. w Warszawie). Zmarły przez długi czas był profesorem malarstwa w krakowskiej szkole sztuk pięknych.

— Prof. dr. Rudolf Leuckart, słynny zoolog, w Lipsku.

— J. Wostokow, profesor uniwersytetu warszawskiego, dziekan wydziału fizyczno-matematycznego, dyrektor obserwatoryum astronomicznego

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu W. w L. Streszczenie, a tem bardziej krytyka krytyki, przedstawiona w ciasnych ramach, prawie zawsze nie daje czytelnikowi należytego pojęcia o rzeczy: Dlatego nie możemy zamieścić artykułu Pańskiego.

20-letniemu Wiersz bez wartości artystycznej.

Panu W. Or. w Krakowie. Zobrazowanie legendy niewyraźne, zamazane.

R. K. Odpowiedzi na to pytanie znajdzie Pan w wydanych po polsku dziełach Tylora: *Antropologia* i obszerniej *Cywilizacya pierwotna*.

Maryuszowi. W wierszach Pańskich wszystko jest słabe. Komunały powiązane rymami.

Do dzisiejszego numeru dołączamy dla abonentów zamiejscowych prospekt **Kuryera Świątecznego.**

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Января 1898 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.